Nr. 2. Lwów, Niedziela dnia 12. Stycznia 1879 r. Tom VIII.

# TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK VI.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCYA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

## CECHY NOWEGO ZWROTU

### W LITERATURZE.

II.

*Realizm.*

Powiedzieliśmy w poprzednim artykule wstępnym, że za główne cechy nowopoczynającego się zwrotu w literaturze europejskiej potrzeba uważać realizm i tendencję społeczną. Zastanowimy się teraz nad pierwszą z tych cech.

Realizm w sztuce, jak każdy ogólnik, może mieć szersze i ściślejsze znaczenie i dlatego rozmaicie może być pojmowany. W najrozleglejszem znaczeniu znaczy on wierne i pilne stosowanie się fantazji twórczej do rzeczywistości. Przeciwnie idealizm w sztuce chce na każdym kroku upiększyć lub spotęgować naturę, rzeczywistość, chce ją upiększyć, czy to podług tradycyjnie przyjętych norm, czy też podług szczególnego widzi mi się pojedynczego artysty.

Żeby się wiernie i pilnie stosować do rzeczywistości, potrzeba umieć na nią patrzeć, potrzeba mieć umysł spostrzegawczy, bez którego przepływać ona będzie przed oczyma patrzącego, nie zostawiając w pamięci jego wyraźnych rysów, a tylko mętne, wzajem zacierające się obrazy. Podstawą zatem realizmu w sztuce, podobnie jak podstawą indukcji w nauce, jest spostrzegawczość.

Podstawą idealizmu w sztuce, jest fantazja, która łączy rozmaite rozproszone w naturze rysy i formy w idealne obrazy, to jest w obrazy, które jakkolwiek mogą nie wybiegać po za granice prawdopodobieństwa, nie znajdują jednak dla siebie żywych wzorów w naturze. Rozbujała fantazja idzie dalej, wyrywa się za granice możliwości i jak w arabskich powieściach, tworzy światy nie mające nic prawie wspólnego z rzeczywistym.

Spojrzmy np. na postać, której imię stanowi tytuł najwspanialszej naszej epopei. Któż jest pan Tadeusz? Jest to uczciwy, szczery, serdeczny młodzieniec, którego poznawszy, trzeba pokochać, ale któremu podobnych wielu można spotkać w rzeczywistości. Nie posiada on olśniewających zalet, nie jest unoszony jakąś wielką ideą, a jeżeli idzie bić się za ojczyznę, to czyni to, jak tysiące innych, z miłości dla kraju i poczucia obowiązku. Piersi jego nie są skrojone, jakby to powiedział Słowacki: „na miarę Fidjasza,“ ale są to zdrowe piersi, wykarmione oddechem łąk i pól rodzinnych, a pełne prostych i szlachetnych uczuć. Zresztą nawet w szczupłym zakresie swoich uczuć i swej działalności nie jest on bynajmniej doskonałością. Dostrzegamy w nim pewnej chwiejności charakteru, pewnej lotności uczuć, któraby nie przystawała idealnemu kochankowi. Mickiewicz niewątpliwie w koleżeńskiem otoczeniu swojem musiał znać bardzo dużo podobnych ludzi, a nawet mamy skazówkę, że za model do tego bohatera służył mu dawniejszy jego współzawodnik, Putkammer. Jednem słowem postać Tadeusza jest nawskróś realistycznie pojęta i przedstawioną, i bynajmniej nie przerasta głową rzeczywistości.

A teraz jeżeli spojrzymy np. na Anhellego, to znajdziemy się od razu u bieguna idealizmu. Anhelli obok pana Tadeusza, to jak jakieś świetlne zjawisko o kształtach ludzkich, obok kamiennego posągu. Nie jest to człowiek, ale duch raczej, stworzony czarodziejską wyobraźnią poety, a nie mający w rzeczywistości żadnych wzorów dla siebie Jestto chodząca abstrakcja, która nie potrzebuje ani jeść, ani pić, a tylko wciąż wyraża jedną jakąś ideę, lub jedno uczucie, lub nareszcie losy całego narodu, stosownie do tego, jak kto chce rozwiązywać tę symbolikę. W każdym razie urodziła się ta postać nie tylko z fantazji, ale i z uczucia, inaczejby nie była tak pociągającą i tak poetyczną. Uczucie smutku i rezygnacji, które się przez długie lata zbierało w sercu poety, chciał on wcielić w postać jakąś i puścić w świat i wcielił w fantastyczną postać pół-człowieka, pół-anioła. Ze światem rzeczywistym nie ma ona nic wspólnego; ludzkie ciało jest w niej tylko powłoką, w której złotoskrzydły duch spoczywa. A i wszystko, co otacza Anhellego jest wizją senną, podczas gdy wszystko co otacza Tadeusza jest jawą, pełnym blaskiem słońca oblaną.

Gdyby Słowacki realistycznie chciał był i mógł był rozwinąć i przedstawić swój temat, gdyby chciał realistycznie opowiedzieć ludziom o smutkach i zawodach narodowych i osobistych, jakie sam przeszedł a wraz z nim całe współczesne pokolenie na wygnaniu, to musiałby wówczas po prostu pokazać nam w zwyczajnem oświetleniu smutne życie emigranta, jego wieczną tęsknotę do ojczyzny, jego ciągłe zawody, wewnętrzną rozterkę w łonie wychodźtwa i w ogóle to wszystko, co zdaje się majaczeć w Anhellim w mglistej symbolice. Ale do tego nie wystarczała skrzydlata fantazja poety, do tego potrzeba było umieć patrzeć, widziec, obserwować, a niespokojny duch Juliusza, zanadto był trawiony własnemi uczuciami, aby mógł niezamąconem okiem patrzeć na otaczającą go rzeczywistość; wydawała mu się ona przytem zanadto szarą w porównaniu ze złocistym rojem widziadeł, któremi fantazja jego sypała jak z rogu obfitości. Odepchnął więc rzeczywistość, dał zupełną wolę skrzydłom fantazji i napisał coś, co jest szczytem romantycznego idealizmu, senne widzenie, prześliczne ale nie mające realnego bytu i w większej połowie mętne i niezrozumiałe.

Z tego, co powiedzieliśmy o panu Tadeuszu, wynika, że realizm nie obcym był i romantycznej epoce i to w najznakomitszym jej u nas przedstawicielu. Sięgając dalej w dzieje poezji, znajdujemy go bardzo głęboko, bo w Iliadzie i Odyssei, które przy poezji indyjskiej, arabskiej i staroromantycznej wyglądają podobnie jak pan Tadeusz przy Anhellim. Okazuje się więc z tego, że realizm nie jest czemś nowem, że jest kierunkiem prawie tak starym jak poezja, ale nie każdy realizm jest jednakowy i tu mamy sposobność do wprowadzenia następujących uwag:

Realizm dotyczyć może tylko obrobienia pojedyńczych szczegółów składowych, tkwić tylko w samem rozwinięciu i przedstawieniu poetycznego materjału, ale nie dosięgać wyboru treści i układu całości. Taki właśnie realizm mamy w greckich epopejach i w Panu Tadeuszu. Greckie

podania bohaterskie, suto mitologią przeplecione, były tematem zaczerpniętym z fantazji ludu greckiego, a nie z rzeczywistości, albo raczej były pierwotnie tematem realnym, ale później przez młodzieńczą fantazję ludu uidealizowanym do niepoznania. W Panu Tadeuszu także realizm tkwi głównie w samem przedstawieniu, bo już w wyborze treści przewodniczy mu ideał miłości ojczyzny, wcielony w postać księdza Robaka, najbardziej też ze wszystkich uidealizowaną. Przeciwnie, gdyby Mickiewicz dał nam był tylko obraz szlacheckiego zajazdu, bez żadnej myśli przewodniej, bez żadnej ogrzewającej i przyświecającej idei, a sam tylko obraz dla obrazu, to byłby realistycznym i w wyborze tematu, i stanąłby w jednym szeregu z malarzami flamandzkimi, którzy wiernie odwzorowują sceny z potocznego życia i kopiują martwe nawet przedmioty, a to przez uszanowanie dla natury, która podług nich nie ma nic, coby się nie mogło stać przedmiotem sztuki. I w takim razie Pan Tadeusz byłby arcydziełem, jak są arcydziełami rozmaite rodzajowe obrazy szkoły flamandzkiej, ale nie miałby znaczenia narodowej epopei, nie byłby ową „arką przymierza między dawnemi a nowemi laty“, której potęgę tak wielbi sam twórca jego w Pieśni wajdeloty.

Nakoniec może być realizm i w samym układzie, który w takim razie nie zostaje pod rządem praw harmonji estetycznej i etycznej, ale naśladuje naturę z całą jej dowolnością, rozwlekłością i brutalnością, estetyczną i etyczną. Przykład tego mamy na powieściach tak słynnego dziś powieściopisarza Zoli, który jest najjaskrawszym przedstawicielem owego wszechstronnego, potrójnego realizmu: w przedstawieniu, w wyborze tematu i w układzie. Maluje on życie z niesłychaną wiernością, tak że każdy szczegół przezeń opisany nietylko widzimy, ale zdaje się, że się go możemy dotknąć, ale chcąc być zbyt wiernym naturze i w samym układzie, tyle daje miejsca w swoich powieściach szczegółom podrzędnym, obojętnym, iż nieraz staje się rozwlekłym i nudnym. Thackeray, który obok Turgeniewa jest najznakomitszym przedstawicielem realizmu w dzisiejszem powieściopisarstwie, jest także często rozwlekłym, ale rozwlekłość ta nie jest tak dokuczliwą dla tego, że po całej powieści rozchodzi się ciepło idei etycznej, która te wszystkie szczegóły łączy i ogrzewa, kiedy tymczasem w powieściach Zoli jest jak w bogato umeblowanym, ale nieopalonym salonie.

Ze wszystkiego tedy, co się tu powiedziało o realizmie, możnaby wyciągnąć następujący sens moralny, już zaznaczony w poprzednim artykule: Ogólny zwrot do realizmu w literaturze jest bardzo szczęśliwym zwrotem, o ile realizm ten dotyczy samego przedstawienia rzeczy, to jest o ile jest realizmem w duchu Odyssei, Pana Tadeusza, Hermana i Doroty, Śmierci Wallensteina i innych arcydzieł, które temu realizmowi zawdzięczają swą niespożytą trwałość. Tylko w takim razie, gdyby chciał zdmuchnąć wszelką myśl przewodnią z poezji, i stać się niewolniczym kopistą natury, łatwo się nająć dającym do schlebiania zmysłom, tylko w takim razie byłby zwrotem niebezpiecznym. Jak wszędzie tak i w tym zwrocie są krańcowi i środek trzymający: ponieważ musimy pójść za ogólnym zwrotem, starajmyż się obierać sobie za przewodników nie pierwszych, ale drugich.

---

# HANIA.

Powieść

LITWOSA.

*(Ciąg dalszy.)*

## II.

Kiedy stary Mikołaj umierając zostawił Hanię opiece i sumieniu memu, miałem wówczas lat szesnaście; ona zaś młodsza niespełna o rok, również wychodziła zaledwie z lat dziecinnych.

Od łoża zgasłego ojca odprowadziłem ją prawie przemocą, i oboje udaliśmy się do naszej domowej kaplicy. Drzwi jej były otwarte; przed starym bizantyńskim obrazem Matki Bożej paliły się dwie świece, których blask słabo tylko rozwidniał mrok panujący w głębi ołtarza. Klęknęliśmy jedno obok drugiego. Złamana bólem, zmęczona łkaniem, bezsennością i żalem dziecina, oparła swą biedną główkę o moje ramię, i tak pozostawaliśmy w milczeniu. Godzina była późna; w sali przyległej do kaplicy, na starym gdańskim zegarze kukułka wykukała chrapliwym głosem godzinę drugą po północy: wszędy panowała głęboka cisza, przerywana tylko odległym szumem śnieżnej zawiei, wstrząsającej ołowianą oprawą okienek w kaplicy i boleśnemi westchnieniami Hani. Nie śmiałem się ozwać do niej żadnem słowem pociechy, tuliłem ją tylko do siebie, jakby już opiekun, albo brat starszy. Nie mogłem się jednak modlić; tysiączne wrażenia, uczucia rozkołysały mi serce i głowę! różnorodne obrazy przesuwały mi się przed oczyma, ale powoli z tego zamętu wyłaniała się jedna myśl i jedno uczucie, oto, że ta bledziuchna twarzyczka z przymkniętemi oczyma, wsparta na mojem ramieniu, ta bezbronna, biedna maleńka istota staje mi się teraz ukochaną siostrą, za którą oddałbym życie, i za którą, gdyby była potrzeba, rzuciłbym rękawicę całemu światu.

Tymczasem nadszedł brat mój młodszy Kazio i klęknął za nami, a potem ksiądz Ludwik i kilkoro ludzi ze służby. Odmawialiśmy pacierz wieczorny, wedle codziennego u nas zwyczaju. Ksiądz Ludwik czytał głośno modlitwy, a my powtarzaliśmy je za nim, lub odpowiadaliśmy chórem w litanię; ciemna zaś twarz Matki Boskiej z dwoma cięciami szabli na policzku, poglądała na nas dobrotliwie, zdawała się brać udział w rodzinnych naszych troskach, zmartwieniach, doli i niedoli, i błogosławić wszystkich u jej stóp zebranych. Przy modlitwie — gdy ksiądz Ludwik zaczął wymieniać zmarłych, za których odmawialiśmy zwykle: wieczny odpoczynek, i dołączył do nich imię Mikołaja, Hania poczęła łkać głośno na nowo; ja zaś wykonałem sobie w duszy cichą przysięgę, że zobowiązań jakie na mnie włożył nieboszczyk, święcie dochowam, choćby mi to kosztem największych ofiar wykonać przyszło. Był to ślub młodego egzaltowanego chłopaka, nie rozumiejącego jeszcze ani możliwej wielkości ofiar, ani odpowiedzialności, ale nie pozbawionego szlachetnych porywów i tkliwych uniesień duszy.

Po skończonym pacierzu rozeszliśmy się na spoczynek. Poleciłem starej Węgrowskiej, gospodyni, aby odprowadziła Hanię do pokoiku, w którym odtąd miała mieszkać — nie zaś jak zwykle do garderoby, i żeby pozostała z nią razem przez całą noc — sam zaś, ucałowawszy serdecznie sierotkę, udałem się do oficyny, w której mieszkałem razem z Kaziem i księdzem Ludwikiem, a którą nazywano w domu stancją. Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Mimo żalu za Mikołajem, którego kochałem serdecznie, czułem się dumny i szczęśliwy niemal ze swej roli opiekuna. Podnosiło mnie to we własnych oczach, że ja, szesnastoletni chłopak, miałem już być podporą dla jednej słabej i biednej istoty. Czułem się mężczyzną. Nie zawiedziesz się, poczciwy starcze, myślałem sobie, na twym paniczu i dziedzicu: w dobre ręce złożyłeś przyszłość twojej wnuczki i możesz spać spokojnie w mogile. Istotnie o przyszłość Hani byłem spokojny. Myśl, że Hania z czasem dorośnie, i że trzeba ją będzie wydać za mąż, nie przychodziła mi wtedy do głowy. Myślałem sobie, że zawsze zostanie przy mnie, otoczona staraniami jak siostra, kochana jak siostra — smutna może, ale spokojna. Wedle odwiecznego zwyczaju, najstarszy syn brał przeszło pięć razy tyle majątku ile młodsze rodzeństwo — młodsi zaś synowie i córki szanowali ten zwyczaj, i nigdy nie występowali przeciw niemu, jakkolwiek nie było w rodzie naszym prawnego majoratu. Byłem najstarszym synem rodziny, a zatem większość majątku miała w przyszłości należeć do mnie; jakkolwiek więc student jeszcze, poglądałem już nań jak na swoją własność. Ojciec należał do majętniejszych w okolicy obywateli. Ród nasz nie odznaczał się wprawdzie bogactwem magnatów, ale ową wielką staroszlachecką zamożnością, dającą chleba wbród, i żywot cichy, dostatni, w rodzinnem gnieździe aż do śmierci. Miałem więc być względnie bogaty, i dla tego ze spokojem patrzyłem w przyszłość tak swoją jak i Hani, wiedząc, że jakakolwiek dola ją czeka, zawsze przy mnie znajdzie spokój i oparcie, jeżeli go będzie potrzebować.

Z temi myślami usnąłem. Nazajutrz rano począłem wprowadzać w czyn powierzoną mi opiekę. Ale w jakiż to czyniłem sposób śmieszny i dziecinny! a jednak dziś, gdy to sobie przypomnę, nie mogę się oprzeć pewnemu rozczuleniu. Gdy przyszliśmy z Kaziem na śniadanie, zastaliśmy już siedzących przy stole: księdza Ludwika, madame d'Yves, naszą guwernantkę i dwie moje małe siostrzyczki, siedzące jak zwykle, na wysokich trzcinowych krzesłach, przebierające nóżkami i gwarzące wesoło. Rozsiadłem się z nadzwyczajną powagą na krześle ojca, i rzuciwszy okiem dyktatora na stół, zwróciłem się do posługującego chłopaka, i rzekłem sucho a rozkazująco:

— Nakrycie dla panny Hanny.

Na wyrazie „panna“ położyłem umyślny nacisk.

Tego dotąd nigdy nie bywało. Hania zwykle jadała w garderobie, bo jakkolwiek matka moja życzyła sobie, aby siadała razem z nami, stary Mikołaj nigdy na to nie chciał pozwolić, powtarzając: „Na co to się zdało — niech zna mores dla państwa. Jeszcze czego!“ Teraz ja wprowadziłem nowy zwyczaj. Poczciwy ksiądz Ludwik uśmiechnął się, pokrywszy uśmiech szczyptą tabaki i fularową chustką od nosa; pani d'Yves skrzywiła się, bo mimo dobrego serca, jako pochodząca ze starej rodziny szlacheckiej francuskiej, wielką

była arystokratką; chłopak zaś usługujący Franciszek, otworzył szeroko usta i patrzył na mnie ze zdziwieniem.

— Nakrycie dla panny Hanny, czy słyszysz? — powtórzyłem.

— Słucham wielmożnego pana! — odpowiedział Franciszek, któremu widocznie zaimponował ton, jakim do niego mówiłem.

Dziś wyznaję, że i „wielmożny pan“ zaledwie mógł powstrzymać uśmiech zadowolenia, jaki na usta moje wywoływał nadawany mi poraz pierwszy w życiu ten tytuł. Powaga jednak nie pozwoliła wielmożnemu panu się uśmiechnąć. Tymczasem nakrycie za chwilę było gotowe; otworzyły się drzwi i weszła przez nie Hania, ubrana w czarną suknię, którą przez noc uszyły jej panna służąca i stara Węgrowska — blada, ze śladami łez na oczach i ze swemi długiemi złotemi warkoczami, które spływały po sukience i kończyły się wstążeczkami z czarnej żałobnej krepy, wplecionej między promienie włosów.

Powstałem i podbiegłszy ku niej, przyprowadziłem ją do stołu. Starania moje i cały ów splendor zdawały się tylko zawsty dzać, mięszać i męczyć dziecinę; ale nie rozumiałem jeszcze wówczas, że w chwili smutku, cichy, samotny, odludny kącik i spokój więcej jest wart niż hałaśliwe owacje przyjaciół, choćby z najlepszego serca płynące. Dręczyłem tedy Hanię w najlepszej wierze swoją opieką, sądząc, że wywiązuję się ze swego zadania doskonale. Hania milczała i tylko od czasu do czasu odpowiadała na moje pytania: co będzie jadła i piła.

— Nic, proszę łaski panicza.

Zabolało mnie owo: „proszę łaski panicza,“ tembardziej, że zwykle Hania była ze mną poufalsza i mówiła mi poprostu: paniczu. Ale właśnie rola, jaką odgrywałem od wczoraj, i odmienne warunki, w jakich postawiłem Hanię, czyniły ją tem nieśmielszą i pokorniejszą. Zaraz po śniadaniu wziąłem ją na bok i rzekłem:

— Haniu, pamiętaj, że odtąd tyś moją siostrą. Odtąd nie mów mi nigdy: proszę łaski panicza.

— Dobrze, proszę łask... dobrze paniczu.

Byłem w dziwnem położeniu. Chodziłem z nią po pokoju i nie wiedziałem co z nią mówić. Radbym był ją pocieszał, ale na to trzeba było wspomnieć Mikołaja i wczorajszą śmierć jego, coby Hanię do nowych łez przywiodło i byłoby tylko odnawianiem bolcści. Skończyło się więc na tem, że siedliśmy oboje na niskiej kozetce stojącej w końcu pokoju, dziecina znowu oparła główkę o moje ramię, ja zaś począłem gładzić ręką jej złote włoski. Tuliła się do mnie rzeczywiście jak do brata, i może owo słodkie uczucie ufności powstające w jej sercu, wywołało nowe łzy w jej oczach. Płakała rzewnie — ja zaś pocieszałem ją jakem umiał.

— Znowu płaczesz, Haniulko! — mówiłem — dziadek twój w niebie, a ja się będę starał...

Nie mogłem i ja mówić dłużej, bo i mnie się na łzy zbierało.

— Paniczu, mogę ja do dziadzi? — wyszeptała.

Wiedziałem, że przyniesiono trumnę i że teraz właśnie kładziono w nią Mikołaja, dla tego nie chciałem, żeby Hania poszła do ciała dziadka pierwej nim wszystko będzie gotowe. Ale za to poszedłem sam.

Po drodze spotkałem panią d'Yves, którą prosiłem, żeby zaczekała na mnie, ponieważ potrzebuję z nią chwili rozmowy. Wydawszy ostatnie rozporządzenia pogrzebowe i pomodliwszy się u zwłok Mikołaja, wróciłem do Francuzki i po kilku wstępnych słowach prosiłem ją, czyby po niejakim czasie, kiedy pierwsze tygodnie żałoby przejdą, nie chciała dawać Hani lekcji francuskiego i muzyki.

— Monsieur Henri! — odpowiedziała pani d'Yves, którą widocznie gniewało, że rozporządzam się wszędzie jak szara gęś po niebie — ja uczyniłabym to najchętniej, bo kocham bardzo tę dziewczynkę, ale nie wiem czy to leży w zamiarach rodziców pana, jak również nie wiem, czy zgodzą się na rolę, jaką pan usiłujesz samowolnie nadać wśród waszej rodziny tej maleńkiej. Pas trop de zéle monsieur Henri.

— Ona jest pod moją opieką — odrzekłem wyniośle — i za nią odpowiadam.

— Ale ja nie jestem pod opieką pana — odparła pani d'Yves — i dla tego pozwoli pan, że zaczekam aż do powrotu pańskich rodziców.

Rozgniewał mnie ten upór Francuzki, ale szczęściem nierównie lepiej poszło mi z księdzem Ludwikiem. Poczciwy księżysko, który i tak poprzednio już uczył Hanię, nietylko że się zgodził na dalsze i obszerniejsze jej kształcenie, ale jeszcze pochwalił mnie za moją gorliwość.

— Widzę — mówił — że szczerze bierzesz się do spełnienia swego zadania, a jakkolwiek jesteś młody i dziecko jeszcze, ale ci się to pochwala. Pamiętaj tylko tak być wytrwałym, jak gorliwym.

I widziałem, że ksiądz kontent był ze mnie. Rola pana domu, jaką sobie nadawałem, bawiła go raczej niż gniewała. Widział staruszek, że dużo było w tem wszystkiem dzieciństwa, ale powody uczciwe, więc dumny był i cieszył się z tego, że jego posiew rzucony w moją duszę nie marniał. Zresztą kochał mnie stary ksiądz bardzo — ja zaś, o ile z początku, za lat zupełnie dziecinnych, bałem się go z całej duszy, o tyle teraz, w miarę jak dochodziłem do lat młodzieńczych, zawojowywałem go coraz bardziej. Miał do mnie słabość, więc pozwolił sobą powodować. Hanię też kochał i rad był los jej, o ile leżało w jego mocy, polepszyć, z jego więc strony nie spotkałem najmniejszego oporu. Pani d'Yves w gruncie rzeczy miała dobre serce i również, jakkolwiek trochę na mnie rozgniewana, otoczyła Hanię troskliwością. Już to na brak serc kochających nie mogła się sierota uskarżać. Służba nasza poczęła ją traktować inaczej; nie jak koleżankę, ale jak panienkę. Wola najstarszego syna w rodzinie, choćby nawet i dziecka, była u nas bardzo szanowana. Tego wymagał i mój ojciec. Od tej woli służyło prawo apelacji do starszego pana i starszej pani, ale nie wolno było sprzeciwiać się jej bez upoważnienia. Najstarszemu synowi również nie wolno było mówić inaczej jak „paniczu“ od najmłodszych lat jego. Służba, również jak i młodsze rodzeństwo, wdrażane było do szacunku dla najstarszego — a szacunek ten pozostawał potem na całe życie. „Tem stoi rodzina“ — mawiał mój ojciec, i istotnie, skutkiem tego, dobrowolny, a nie oparty na prawie układ rodzinny, mocą którego najstarszy miał więcej majątku od młodszych, utrzymywał się oddawna. Była to rodzinna tradycja, przechodząca z pokolenia na pokolenie. Ludzie przywykli byli patrzeć na mnie jak na przyszłego pana, a uczuciu temu nawet nieboszczyk stary Mikołaj, któremu wszystko było wolno, i który jeden tylko nazywał mnie po imieniu, nie mógł się do pewnego stopnia oprzeć.

Matka trzymała w domu apteczkę, i sama nawiedzała chorych. W czasie cholery spędzała całe noce w chatach włościańskich wraz z doktorem, narażając się na śmierć niechybną, a ojciec, który o nią drżał, przecie jej tego nie bronił, powtarzając: obowiązek, obowiązek. Zresztą i sam ojciec, lubo surowy, dawał zapomogi, nieraz darowywał robociznę, przebaczał, mimo wrodzonej popędliwości, winy łatwo, płacił nieraz długi za włościan, sprawiał wesela, trzymał dzieci do chrztu, nam kazał ludzi szanować, starym zaś gospodarzom na ich powitania odpowiadał czapką, ba! często nawet wzywał ich na naradę. Ale też nie można inaczej powiedzieć, jak że chłopi przywiązani byli do całego rodu bardzo, czego później niejednokrotnie wyraźne złożyli dowody.

Mówię to wszystko dla tego, raz aby odmalować wiernie, jak to u nas jest i bywało, powtóre, aby okazać, że w kreowaniu Hani na „panienkę“ nie spotkałem wielkich trudności. Największej biernego oporu spotkałem w niej samej, bo dziecinka zbyt była lękliwą i w zbytniej czci dla „państwa“ przez samego Mikołaja wychowaną, aby z łatwością mogła się ze swoim losem pogodzić.

Pogrzeb Mikołaja odbył się w trzy dni po jego śmierci. Sąsiedztwo zjechało na ten pogrzeb dosyć licznie, chcąc uczcić pamięć starego, który jakkolwiek sługa, przecież powszechnie był szanowany i lubiony. Starca pochowano w naszych grobach rodzinnych, a trumnę jego postawiono przy trumnie dziada mojego pułkownika. Przez cały czas ceremonji pogrzebowych nie opuszczałem Hani ani na chwilę. Przyjechała ze mną w sankach i chciałem, żeby ze mną wracała, ale ksiądz Ludwik kazał mi iść prosić sąsiadów, żeby z cmentarza wstąpili do nas dla ogrzania się i posiłku. Hanią tymczasem zajął się kolega mój i przyjaciel Mirza-Dawidowicz, syn Mirzy-Dawidowicza obywatela i sąsiada mojego ojca — z pochodzenia Tatara i Mahometanina, ale z rodziny z dziada pradziada osiadłej u nas i od dawnego czasu posiadającej obywatelstwo i szlachectwo tutejsze. Musiałem siąść razem z Ustrzyckimi, Hania zaś zabrała się z panią d'Yves i z młodym Dawidowiczem do innych sani. Widziałem jak poczciwy chłopczysko otulał ją własnem futrem, potem wziął od woźnicy lejce, krzyknął na konie i pomknęli jak wicher. Po powrocie do domu, Hania poszła płakać do pokoiku dziadka, ja zaś nie mogłem za nią pospieszyć, bo wraz z księdzem Ludwikiem musieliśmy przyjmować gości. Wreszcie rozjechali się wszyscy, został tylko Mirza-Dawidowicz, który miał przepędzić u nas resztę świąt Bożego Narodzenia, trochę się ze mną uczyć, bo byliśmy obaj w siódmej klasie i czekał nas egzamin maturitatis, ale więcej jeździć konno, strzelać do celu z pistoletów, fechtować się i polować, które to zajęcia obadwa przekładaliśmy o wiele niż tłómaczenie Annalów Tacyta i Ksenofontową Cyropajdaję.

*

Ten Mirza był wesoły chłopak, urwis i psotnik wielki, zapalczywy jak iskra, ale do najwyższego stopnia sympatyczny. U nas w domu lubili go wszyscy bardzo, prócz ojca mego, którego gniewało to, że młody Tatar strzelał i fechtował się lepiej odemnie. Za to pani d'Yves przepadała za nim, bo gadał po francusku jak Paryżanin, usta mu się nie zamykały, plótł, dowcipkował i bawił Francuzkę lepiej od nas wszystkich.

Ksiądz Ludwik znowu miał trochę nadziei, że go nawróci na religię katolicką, tembardziej, że chłopiec żartował sobie czasami z Mahometa, i pewno byłby chętnie Koran porzucił, gdyby nie to, że bał się ojca, który ze względu na tradycje rodzinne trzymał się oburącz mahometanizmu, powtarzając, że jako stary szlachcic, woli być starym mahometaninem niż świeżym katolikiem. Zresztą nie miał stary Dawidowicz innych tureckich lub tatarskich sympatji. Przodkowie jego osiedli tu od czasów pono Witoldowych. Była to szlachta również zamożna bardzo i od dawna w jednem gnieździe osiadła. Majątki, które posiadali, nadał jeszcze Jan Sobieski Mirzie-Dawidowiczowi, pułkownikowi lekkiej chorągwi petyhorskiej, który cudów dokazywał pod Wiedniem, a którego portret wisiał jeszcze w Chorzelach. Pamiętam, że portret ten dziwne na mnie robił wrażenie. Pułkownik Mirza był to człek straszny; twarz jego była tak popisana Bóg wie jakiemi szablami, jakby tajemniczemi literami Koranu. Płeć miał śniadą, policzki wystające, oczy skośne o dziwnie ponurym blasku, które miały tę własność, że z portretu patrzyły na ciebie zawsze, czyś stanął wprost, czy z któregokolwiek boku. Ale kolega mój Selim w niczem nie był do przodków swych podobny. Matka jego, z którą stary Dawidowicz ożenił się w Krymie, nie była Tatarką, ale pochodziła z Kaukazu. Ja nie pamiętałem jej, ale wiem, że mówiono, iż była to piękność nad piękności, i że młody Selim jak dwie krople wody do niej podobny. Ach! cudny był chłopak ten Selim! Oczy jego miały już zaledwie dostrzegalny skośny kierunek. Nie były to jednak oczy tatarskie, ale wielkie, czarne, smutne i łzawe oczy, jakiemi podobno odznaczają się Gruzinki. Oczu obdarzonych taką niewypowiedzianą słodyczą, gdy były spokojne, nie widziałem jak żyję i nie zobaczę więcej. Gdy Selim o co prosił, a spojrzał temi oczyma na człowieka, to zdawało się, że brał go wprost za serce. Rysy miał regularne, szlachetne, jakby z pod rzeźbiarskiego dłuta wyszłe, płeć smagłą, ale delikatną, wypukłe trochę — czerwone jak malina usta, słodki uśmiech i zęby jak perły. Gdy jednak Selim pobił się naprzykład z kolegą, co zdarzało się dość często, wtedy ta jego słodycz znikała jak zwodnicza mara; stawał się prawie straszny, oczy zdawały się mu w ukos wyciągać, i świeciły jak u wilka; żyły wyprężały się na twarzy; płeć ciemniała i budził się w nim na chwilę prawdziwy Tatar, taki, z jakimi chodzili w taniec nasi przodkowie. Trwało to jednak krótko. Po chwili Selim płakał, przepraszał, całował — i wybaczano mu zwykle. Serce miał jak najlepsze, skłonność do szlachetnych porywów wielką. Był jednak roztrzepany, trochę lekkomyślny i hulaka niepohamowanego temperamentu. Jeździł konno, strzelał i fechtował się jak mistrz—uczył się średnio, bo mimo wielkich zdolności, trochę był próżniak. My obaj kochaliśmy się jak bracia, czubili często, godzili również często i przyjaźń trwała niepożyta. Na wakacje i wszystkie święta połowę czasu albo ja przepędzałem w Chorzelach, albo on u nas. Jakoż i teraz przyjechawszy z pogrzebu Mikołaja miał już u nas pozostać do końca świąt Bożego Narodzenia.

Gdy tedy goście rozjechali się po obiedzie, była godzina może czwarta po południu. Krótki dzień zimowy kończył się; przez okna zaglądała wielka zorza wieczorna; na stojących pod oknami drzewach, pokrytych śniegiem i oblanych czerwonym blaskiem, poczęły łopotać i krakać wrony. Przez okna widać było całe ich stada ciągnące nad stawem od boru i pławiące się w świetle wieczornem. W sali, do której przeszliśmy po obiedzie, panowało milczenie. Pani d'Yves poszła do swego pokoju układać, jak zwykle, kabałę; ksiądz Ludwik chodził wzdłuż komnaty miarowym krokiem i zażywał tabakę; dwie moje małe siostrzyczki przewracały się pod stołem na dywanie i tykając się główkami, plątały sobie wzajemnie złote pukle włosków; Hania zaś, ja i Selim, siedząc pod oknem na kanapce, poglądaliśmy na staw od strony ogrodu, na bór za stawem i na niknący blask dzienny.

Wkrótce zrobiło się zupełnie szaro. Ksiądz Ludwik wyszedł odmawiać pacierze, jedna moja siostrzyczka pogoniła za drugą do przyległego pokoju; zostaliśmy sami. Selim począł już coś gwarzyć i szczebiotać, gdy Hania przysunęła się do mnie nagle i wyszeptała:

— Paniczu, mnie czegoś straszno; ja się boję!

— Nie bój się, Haniulko — odpowiedziałem przyciągając ją do siebie. — Przytul się do mnie — ot tak. Póki jesteś przy mnie, nic ci się złego stać nie może. Patrz, ja się nie boję niczego i zawsze potrafię cię obronić.

Była to nieprawda, bo czy to z powodu mroku pokrywającego salę, czy skutkiem słów Hani i niedawnej śmierci Mikołaja, i ja byłem pod jakiemś dziwnem wrażeniem.

— Może każesz przynieść światło?—spytałem.

— Dobrze, paniczu.

— Mirza, każ Frankowi podać światło.

Mirza skoczył z kanapki, i wkrótce za drzwiami posłyszeliśmy niezwykłe tupotanie i hałas. Drzwi się otworzyły z trzaskiem i wpadł jak wicher Franek, a za nim trzymający go za ramiona Mirza, Franek miał minę ogłupiałą i przestraszoną, bo Mirza trzymając go za ramiona, kręcił nim jak frygą i sam się obracał z nim razem. Poczem przywiódłszy go tym ruchem aż do kanapki, zatrzymał się i rzekł:

— Pan każe ci przynieść światło, bo panienka się boi. Co wolisz, czy przynieść światło, czy żebym ci głowę ukręcił?

Franek poszedł po lampę i wrócił z nią za chwilę; ale pokazało się, że światło razi zapłakane oczy Hani, więc Mirza je zgasił. Zostaliśmy znów pogrążeni w tajemniczym mroku, i znów zapanowało między nami milczenie. Teraz księżyc rzucał jasne, srebrne światło przez okna. Hania widocznie bała się, bo przytuliła się do mnie jeszcze mocniej, a przytem musiałem ją trzymać za rękę. Mirza siadł naprzeciw nas na krześle, i wedle swego zwyczaju od hałaśliwego usposobienia przeszedł w zadumę — i po chwili rozmarzył się jakoś. Cisza panowała między nami wielka, było nam trochę straszno, ale dobrze.

— Niech Mirza opowie nam jaką bajkę — rzekłem. — On tak ślicznie opowiada. Dobrze, Haniu?

— Dobrze — odpowiedziała dziewczynka.

Mirza podniósł w górę oczy i zamyślił się trochę. Księżyc oświecał jasno jego śliczny profil. Po chwili zaczął opowiadać swoim drgającym sympatycznym a przyciszonym głosem:

— „Za lasami, za górami, żyła w Krymie pewna dobra wróżka, imieniem Lala. A raz przejeżdżał koło jej chaty sułtan, który nazywał się Harun, i który był bardzo bogaty: miał pałac z korali z djamentowemi kolumnami, dach na tym pałacu był z pereł, pałac był tak wielki, że trzeba było iść rok, żeby go przejść od końca do końca. Sam sułtan w zawoju nosił prawdziwe gwiazdy, zawój był z promieni słonecznych, na wierzchu zawoju był sierp księżyca, który pewien czarownik od księżyca odciął i sułtanowi podarował. Przejeżdża ten tedy sułtan koło wróżki Lali i płacze, ale tak płacze, tak płacze, że łzy padają na drogę, a gdzie łza padnie, tam wyrasta zaraz lilija biała.

— „Czego płaczesz, sułtanie Harunie? — pyta go wróżka Lala.

— „Jakże nie mam płakać — mówi sułtan Harun — kiedy mam tylko jedną córkę piękną jak zorza poranna i muszę ją oddać czarnemu Dewsowi o ognistych oczach, który co rok...

Mirza urwał nagle i umilkł.

— Śpi Hania — wyszeptał do mnie:

— Nie, nie śpię — odpowiedziała sennym głosem dziewczynka.

— „Jakże nie mam płakać, mówi do niej sułtan Harun (ciągnął Mirza), kiedy mam tylko jedną córkę, którą muszę oddać Dewsowi. — Nie płacz, sułtanie, mówi Lala, siądź na skrzydlatego konia i jedź aż do groty Borah. Złe obłoki będą cię gonić po drodze, ale ty rzuć na nie temi oto ziarnkami maku i obłoki usną zaraz...

I tak dalej opowiadał Mirza, a potem urwał znowu i spojrzał na Hanię. Dziecina spała teraz rzeczywiście. Zmęczona była bardzo i zbolała, więc zasnęła mocno. Obaj z Selimem nie śmieliśmy prawie oddychać, żeby jej nie obudzić. Oddech jej był równy, spokojny, przerywany tylko czasem głębokiemi westchnieniami. Selim podparł ręką czoło i zamyślił się głęboko, ja zaś podniosłem oczy w niebo, i zdawało mi się, że na skrzydlach aniołów ulatuję w niebieskie przestworza. Nie umiem wypowiedzieć słodyczy, jaka przejmowała mnie całego, gdym czuł, że ta droga, maleńka istota spi spokojnie i z całem zaufaniem na mojej piersi. Jakieś drżenie przejmowało mnie całego; jakieś nieziemskie, nowe, a nieznane głosy szczęścia rodziły się mi w duszy i poczęły spiewać i grać jak kapela. Ach! jakże kochałem Hanię! jak ją kochałem miłością brata i opiekuna jeszcze, ale bez granic i miary.

Zbliżyłem cicho usta do warkocza Hani i ucałowałem go. Nie było w tem nic ziemskiego, bo ja i pocałunek byliśmy jeszcze jednakowo niewinni.

Mirza wzdrygnął się nagle i obudził z zadumy.

— Jakiś ty szczęśliwy, Henryku — wyszeptał.

— Tak, Selimie.

Nie mogliśmy jednak wiecznie tak pozostawać.

— Nie budźmy jej i przenieśmy ją do jej pokoju — rzekł do mnie Mirza.

Ja ją sam przeniosę, a ty tylko otwieraj drzwi — odpowiedziałem mu na to. — Wysunąłem delikatnie ramię z pod główki śpiącej, główkę zaś oparłem na kanapie. Poczem ostrożnie wziąłem Hanię na ręce. Byłem jeszcze dzieciak, ale pochodziłem z rodu ludzi nadzwyczaj silnych; dziecina zaś była drobna i wiotka, więc uniosłem ją jak piórko. Mirza otworzył drzwi do przyległego oświeconego pokoju i w ten sposób dotarliśmy aż do zielonego gabinetu, który przeznaczyłem na mieszkanie Hani. Łóżeczko było już tam posłane; na kominku trzaskał obfity ogień, a pod kominkiem siedziała grzebiąc w węglach stara Węgrowska, która ujrzawszy mnie obciążonego w ten sposób, zawołała:

— A dla Boga! a toć paniczyk podźwiga się dziewczyną. Nie można to było jej obudzić, żeby sama przyszła.

— Niech Węgrosia cicho będzie! — zawołałem gniewnie. — Panienka nie „dziewczyna“, mówię, tylko panienka, czy Węgrosia słyszy? — panienka zmęczona. Proszę jej nie budzić. Rozebrać i położyć cicho w łóżeczko. Niech Węgrosia pamięta, że to sierota, i że dobrocią trzeba ją pocieszyć po dziadku.

— Sierota niebożątko, juźci że sierota— jęła zaraz powtarzać z rozrzewnieniem poczciwa Węgrowska.

Mirza pocałował za to babinę, poczem wróciliśmy na herbatę. (C. d. n.)

---

## LEON SAPIEHA.

*(Ciąg dalszy.)*

Odumarł więc ojciec ks. Leona w latach dziecinnych a dalszy tok wychowania był zupełnie w ręku matki. Lata dziecinne przebył pod wrażeniem trwogi przed prześladowaniem Moskali. Po upadku Napoleona schroniła się księżna Anna dlatego do Krakowa, lecz nie na długo, bo już w roku 1814 osiadła na Wołyniu w Teofilpolu, majątku i siedzibie ks. Teofili z Jabłonowskich Sapieżyny, babki ks. Leona. Tu pobierał ks. Leon pierwsze nauki, a po tych odbyciu wysłała go matka do warszawskiego liceum, którego kierownikiem był wówczas S. B. Linde. Z czasów pobytu w liceum wspomina ks. Leon Maurycego Mochnackiego, Aleksandra Wielopolskiego, Wojciecha Potockiego, Anastazego Dunina i Jaślikowskiego jako najbardziej się odznaczających współuczni. Na uniwersyteckie nauki wysłała go matka do Paryża. Uczęszczał młody Leon na prawnicze nauki zapewne z postanowienia rodziny, aby się sposobić do zawodu publicznego, oddawał się jednakże naukom ścisłym, matematyce i chemji, zapewne z zamiłowania, jakoż w matematyce należał do najlepszych uczniów.

Odbywszy uniwersyteckie nauki, został wyprawionym dla dalszego kształcenia się do Anglji, gdzie się oddawał studiom ekonomicznym. W tej kolei nauk widoczny jest pewien plan i jakoby przewidywanie, że będzie kiedyś powołanym do zawodu publicznego. Jakoż nie długo dał czekać ojczyźnie na swoje usługi w zawodzie publicznym. Zrazu zajął się powróciwszy z Anglji uporządkowaniem majątku wprawdzie bardzo rozległego ale mocno zadłużonego.

W krótkim perjodzie życia, który poświęcił uporządkowaniu spraw majątkowych, odbywał ks. Leon wiele podróże po kraju, w celu szczegółowego poznania swoich ojczystych ziem. Było to niejako dalszym ciągiem kształcenia się do życia publicznego. Jakoż zwracał on uwagę swoją na stosunki społeczne. Do jednego z najciekawszych przedmiotów należała wówczas kolonizacja Krymu, który rząd moskiewski w celu zupełnego zmoskwicenia zaludniał przymusowo przesiedlonymi tamże starowiercami. Zapoznawszy się tam z generałem de Witte'm, podróżował z nim razem i miał sposobność przypatrzyć się temu, jak Moskwa pojmuje i spełnia swoje „cywilizacyjne zadanie“.

Z przerażeniem wspomina Sapieha o pastwieniu się nad kolonistami, o okrucieństwach jakich oni doznawać musieli od organów „dobroczynnego rządu“.

W r. 1824 przybył na kontrakty do Kijowa, gdzie poznał wszystkie najwybitniejsze osobistości, jakie należały do tak zwanego pestlowskiego sprzysięrzenia.

Z pamiętników jego otrzymaliśmy tylko tę krótką wzmiankę co do tej sprawy. Za życia Leona Sapiehy, mieliśmy wszakże sposobność słyszeć z własnych ust jego bliższe wyjaśnienie jego stosunku do spiskowców.

Zostawał on nawet w przyjaznych stosunkach z niektórymi z główniejszych działaczów w tem sprzysiężeniu, lecz właśnie, gdy spostrzegł, że jakieś tajemne roboty gotują, usunął się nawet od swoich znajomych. Powodem do tego było, jak nas zapewniał ks. Leon, że już wtedy był z zasady przeciwnikiem wszelkich spisków, wszelkiej tajemnej czynności w polityce.

W r. 1825 powrócił do matki do Teofilpola, a ztąd wkrótce wyjechał do Warszawy, gdzie wstąpił w służbę rządową.

Czy wstąpił dlatego do służby publicznej, aby mieć tam ważniejszy powód do zerwania stosunków ze spiskowymi, czy też aby usunąć od siebie wszelkie podejrzenia, jakoby do nich należał, o tem twierdzić nie możemy, bo i z pamiętników jego nie otrzymaliśmy żadnego wyjaśnienia o właściwych powodach i zamiarach jego wstąpienia do służby rządowej. Jeżeli chciał uniknąć podejrzenia, to mu się rzecz nieudała, jakto poniżej w chronologicznym przebiegu zdarzeń wskazujemy.

Jeżeli zaś zamierzał dosłużyć się wysokiego stanowiska w służbie publicznej, to posiadał ku temu wszelkie warunki. Po całem jego wychowaniu sądząc, musimy wnioskować, że już od najmłodszych lat był dla niego ten zawód przeznaczony i dlatego możemy przypuszczać, iż nie inne powody skłoniły go do wejścia w służbę rządową. Przez same stosunki rodzinne, pozostawał on w stycznościach już to z osobami należącemi do dworu cesarskiego, już to z piastującemi najwyższe urzędy w Petersburgu lub Warszawie. Same spowinowacenia z ks. Adamem Czartoryjskim, który miał za żonę rodzoną siostrę ks. Leona i z ordynatem Zamojskim, przez matkę, torowało mu drogę i ułatwiało przystęp do najwyższych sfer dworskich i rządowych.

W roku 1825 a zatem licząc 22 lat wieku rozpoczął on służbę publiczną w ministerjum skarbu królestwa pod kierunkiem ks. Lubeckiego. Zawdzięczał on wiele temu stosunkowi z Lubeckim. Lubecki cenił pracę i zaprawiał do niej młodych podwładnych. Nie mógł też Sapieha urzędnikiem być dla formy tylko i tytułu, ale pracował usilnie i statecznie. Jego jedną z pierwszych prac, był udział w układaniu statutów dla banku Polskiego i towarzystwa kredytowego ziemskiego. Z praktyki tej korzystał książę Leon później wielce przy zakładaniu Towarzystwa kredytowego w Galicji z pożytkiem dla kraju.

Lubecki przykładał wielką wagę do podniesienia górnictwa w kraju, będąc przekonanym, że ziemia nasza mieści w sobie ogromne skarby prawie nie wyzyskiwane.

Do górniczego departamentu więc przydzielał najzdolniejszych swoich subalternów, a zwłaszcza takich, których chciał użyć jako kierowników prac skarbowych.

Zajęci byli w tym dziale Hauke, (brat późniejszego generała Bossaka), i znany ze swoich zdolności i energji Piotr Michałowski. Sapieha z początku był przydzielony Haukemu dla nabycia praktyki, a następnie Piotrowi Michałowskiemu, który był naczelnikiem biura, jako tegoż zastępca.

W ciągu tej służby poślubił Jadwigę, córkę Stanisława Zamoyskiego, ordynata i ówczesnego prezesa, senatu dnia 19. grudnia 1825. Było to właśnie po wstąpieniu na tron Mikołaja. Nastąpiła znana epoka prześladowań politycznych. Sapieha, chociaż, jakeśmy już wspomnieli, uchylił się był od wszelkich działań spiskowych, nie uniknął przecież podejrzenia, wsku tek dawniejszych stosunków ze spiskowymi. Podejrzenia tego użył nawet jako broni pewien oficjalista, który oddalony ze służby w dobrach jego z powodu kradzieży, denuncjował Sapiehę.

Jedynie wpływowi Wincentego Krasińskiego zawdzięczał Sapieha, że denuncjacja nie pociągnęła za sobą zgubnych dla niego skutków.

Pozostał on na swojej posadzie, a ponieważ służba górnicza wymagała obecności urzędników na miejscu, w fabrykach i kopalniach, więc został wysłany do Suchedniowa i Samsonowa, gdzie, jak w pamiętniku swym wspomina, czasem zdala od żony, czasem z nią przebywał. Nie było tu względu na pańskie nawyczki. Służba była połączona z wielkiemi niewygodami, trudami i bardzo uciążliwą pracą.

Nieraz, mawiał on wspominając o tym perjodzie swego życia, musiał brać fartuch na siebie i asystować przy piecu hutniczym.

W Suchedniowie i Samsonowie przepędził Sapieha rok 1826.

W roku 1827 wezwanym został ks. Lubecki prze cara do Petersburga, dokąd mu Sapieha towarzyszyć musiał. Lubecki pracował tam nad załatwieniem niektórych spraw ekonomicznych i finansowych, przyczem, jak ks. Leon nadmienia w swoim pamiętniku, próbował prywatnie uzyskać niektóre koncesje polityczne.

Sapieha pisze w pamiętniku swoim, że car przyjmował go z większą niż zwykle uprzejmością, a zapraszając go na różne większe i mniejsze dworskie uroczystości, starano się wszelkiemi sposobami przywiązać go do dworu.

My nadmieniamy tu tylko, że ks. Leon został był kamerjunkrem carskim, a fama głosiła, że carowa osobiście bardzo sobie upodobała młodego i przystojnego księcia. Do tej plotki

dała zapewne powód owa uprzejmość dworu, o której sam ks. Leon wspomina.

Polaków było dosyć w Petersburgu i był między nimi zwyczaj schodzenia się na składkowe obiady. Przy tych obiadach słyszał Sapieha, improwizującego i deklamującego Adama Mickiewicza. poznał sławnego rysownika naszego Aleksandra Orłowskiego i innych znakomitych Polaków. Wieczory spędzali Polacy najczęściej u znanej kompozytorki p. Szymanowskiej.

Ze znajomości porobionych między Moskalami należy do najważniejszych i najciekawszych owa z Benkendorfem, komendantem żandarmerji i generał policmajstrem.

Benkendorf był jedynym z ulubieńców cara a zarazam nieprzyjacielem W. ks. Konstantego. Sapieha miał u Benkendorfa wielkie wpływy, przez co udało mu się powstrzymać, nie jeden gwałt W. ks. nie jedno nadużycie czynowników moskiewskich. W pamiętniku swoim nadmienia Sapieha, że przez Benkendorfa udało mu się uwolnić 73 osób więzionych i katowanych przez W. ks. Konstantego. W końcu, pisze on, przyszedłem do takiego wpływu u Benkendorfa, że ks. Lubecki chcąc uzyskać lub wyprosić coś u cara, wysyłał mię do Benkendorfa, aby go pozyskać dla sprawy, a przez niego znowu wpłynąć na cara.

Pisze w swoim pamiętniku Sapieha „że nie jedno dało się w ten sposób zrobić dla kraju".

W r. 1828 (3 maja) powrócił Sapieha z Petersburga do Warszawy i został natychmiast wysłany przez Lubeckiego do fabryk rządowych. Moskwa sposobiła się wtedy do wojny tureckiej, przygotowywano więc wielkie zapasy amunicji a gdy przyszło do próby, okazało się, że kule działowe znajdujące się po arsenałach nie odpowiadały kalibrowi dział. Musiano je przelewać. kierownictwo nad tą robotą przypadło Sapieże. Kule, które on lał, nie doszły swojego przeznaczenia. Gdy się zastanawiano nad tem, co począć z temi zapasami? Sapieha odpowiedział, że się przydadzą. (C. d. n.)

---

# AWANTURNICZA WYPRAWA
# DO CHIWY
## BURNABY'EGO
### KAPITANA GWARDJI KRÓLEWSKIEJ.

*(Z angielskiego).*

*(Ciąg dalszy).*

II.

Człowiek który pod wpływem korespondencji dziennikarskiej, przeczytanej w środkowej Afryce, postanowił udać się do środkowej Azji, nie należał naturalnie do rzędu tych ludzi, którzy więcej czasu trawią nad obmyśleniem planu podróży i nad przygotowaniami do niej, niż na samą podróż. Uzyskawszy urlop i przybywszy do Londynu na końcu listopada, zajął się przedewszystkiem Burnaby przestudjowaniem dzieł, traktujących o ludach Azji środkowej. Atoli przekonał się, że dzieł tych jest bardzo niewiele. *Podróż po Azji środkowej* Vambery'ego, prof. uniwersytetu peszteńskiego, podróż z *Heratu do Chiwy* kapitana Abbotta, *Kampanja nad Amur-Darją* Mac-Gahana, korespondenta *New-York Heralda*, oto i wszystko. Przeczytawszy te dzieła, przekonał się Burnaby, że spacer do Chiwy, nie należy do rzędu różami usłanych podróży; że nietylko fantazję tę życiem można przepłacić, bo o nią tak bardzo nie dbał człowiek, który je tylekrotnie narażał, ale że co gorsza przezwyciężyć i przenieść potrzeba tysiące trudów fizycznych, jedne gorsze od drugich, a ze wszystkich może najgorsze, to straszne zimno stepowych wiatrów. „W Europie, pisze on, nie mamy wyobrażenia do jakiej strasznej siły dochodzi wiatr, kiedy się rozigra na tych niezmierzonych płaszczyznach. Użalamy się powszechnie w Anglji na wiatr wschodni, chorzy jesteśmy kiedy on wieje, humor tracimy i dostajemy spleenu; a przecież jest to tylko lekki powiew, niewinny i łagodny, z siły którego domyślić się nawet nie można czem on jest, kiedy się go otrzymuje z pierwszej ręki, wprost z jego azjatyckiej fabryki. Tam nie ma oceanu, któryby po ocieplał, drzew i gór, któreby osłabiały piekielną moc jego ataku. Tam on panuje jak władca autokratyczny, porywa kryształy solne z jezior i błot mineralnych, i uderza niemi z taką siłą w twarz, że tnie jak brzytwą, świeżo wyostrzoną i zmraża jak kompresem lodowym."

Jednakże perspektywa tych walk z azjatyckiemi wiatrami nie tyle odstraszała kapitana Burnaby'ego, ile go przerażała pewność, że ze strony władz moskiewskich na każdym kroku doznawać będzie tysiącznych przykrości. Próby ich doświadczył już w Londynie, jakkolwiek przecie Moskale za granicą nie są wcale podobni do Moskali w ich miłej ojczyźnie. Hr. Szuwałów, ambasador moskiewski, do którego się udał Burnaby po informacje, przyjął go bardzo grzecznie, nagadał mu tysiące komplementów, ale zapytany, czy rząd dozwoli udać się do głębi Azji, odparł zimno i dyplomatycznie, że w tej mierze nie może udzielić żadnej odpowiedzi, ale że na miejscu władze moskiewskie objaśnią należycie. Tymczasem zasięgnąwszy prywatnych informacji, dowiedział się p. Burnaby, że Milutin, minister wojny, wydał surowy rozkaz, aby żadnego Anglika pod żadnym pretekstem nie wpuszczano po za granice orenburgskiej gubernji. Zakaz ten przestrzegano tak sumiennie, że pewnego razu o mały włos nie wyprawiono na tamten świat człowieka winnego Bogu duszę. Jeden z oficerów, odkomenderowanych do armji Kaufmana, wyjeżdżając z Petersburga, zabrał ze sobą służącego, Anglika rodem. Dowiaduje się o tem naczelny wódz. Przywołuje więc do siebie Anglika i wręcz go zapytuje czy nie jest korespondentem *Timesa*. Anglik zdumiony nad wyraz, nie traci jednak rezonu i sądząc, że doda tem sobie znaczenia i powagi, odpowiada, iż dotąd wprawdzie nie pisywał do *Timesa*, ale że właśnie ma teraz ten zamiar. Jeżeli mi jedno słówko napiszesz do tej *praklatoj gaziety*, każę cię natychmiast rozstrzelać, wrzasnął jenerał, pieniąc się ze złości. A w godzinę potem Anglika zaaresztowano i odwieziono z żandarmami do granicy.

Żeby się zabezpieczyć od wiatrów i mrozów azjatyckich, kazał sobie Burnaby, za poradą Allena Younga, słynnego dowódcę ekspedycji do bieguna północnego, uszyć olbrzymi worek, siedm stóp długi a dziesięć szeroki, opatrzony w jeden tylko otwór z boku. Worek ten z żaglowego płótna, podobny był bardzo do zwykłego siennika, bo tylko tem od niego się różnił, że był nieprzemakalny i że miał służyć nie do spania ale jako palto. Do worka tego, przez ów otwór boczny, wlazł Burnaby okutany w flanelę i w futra, i jak opowiada, w tym „ruchomym szałasie" czuł się dość nieźle.

Oprócz tego worka — pisze Burnaby — kupiłem jeszcze sobie cztery pary pończoch z zajęczej skóry, takich jakich to używają rybacy szkoccy; następnie kilka kompletnych garniturów flanelowych i jeden kortowy, ale z kortu niemal na pół cala grubego. Wyśmienity był to garnitur, ciepły, miękki i wygodny nadzwyczaj. Przydał mi się on bardzo i szczerze zań wdzięczny jestem p. Kino, z Regent street. Wziąłem nadto ze sobą dwie pary butów podszytych futrem, parę flaszek chininy i kilka pudełek pigułek Cockle'a. Broni nie brałem dużo, bo wiedziałem, że stepy azjatyckie nie dają pola do żadnych myśliwskich rozkoszy. Wziąłem więc tylko ze sobą mój nieodstępny rewolwer sześciostrzałowy i starą faworytalną strzelbę, o kalibrze Nr. 12. Sądziłem, że to mi wystarczy dla obrony od niedźwiedzi, wilków i turkomanów. Resztę mego podróżnego inwentarza stanowiła lampka spirytusowa, ale wcale nie podobna do tych zwykłych lampek, które na to tylko są wymyślone, aby jak najwięcej spalały spirytusu a jak najmniej grzały wody; dalej mały *nécéssaire*, barometr, termometr, i wreszcie trzos skórzany na złoto, najlepszy jaki tylko istnieć może instrument do wybijania ze snu najbardziej nawet znużonych ludzi. Nosiłem bowiem ten trzos na sobie. Tak wyekwipowany we wszystko, co sądziłem, że mi będzie potrzebnem, ruszyłem d. 30 listopada w drogę. W wigilją zaś mego wyjazdu, otrzymałem grzeczny, powiedziałbym nawet serdeczny bilecik, gdyby dyplomaci mogli serdeczne listy pisywać, od p. Szuwałowa, w którym mi donosił, że do dwóch listów rekomendacyjnych, które mi dał wprzódy, do jenerała Milutina, ministra wojny, i do jen. Kaufmana, gubernatora Turkiestanu, dołącza jeszcze trzeci, do swego brata, mieszkającego w Petersburgu, i zasyła mi tysiączne życzenia jak najszczęśliwszej podróży i jak najprędszego powrotu. To ostatnie życzenie nie mile mnie jakoś ukłuło. Ale pal kaci, rozpiąłem żagiel, cofać się więc nie wypada. Dalej do dzieła, pomimo, że dmą nieprzyjazne wiatry. Ruszaj na dworzec Viktoria!

Podróż z Londynu do Petersburga, której autor kilka kartek poświęca w swem dziele, nie przedstawia dla nas żadnego szczególnego interesu. Dopiero budzi zajęcie dziennik jego podróży od chwili przybycia jego do nadnewskiej stolicy. Tutaj bowiem, w świetle krytyki angielskiej, znakomicie występują na jaw wszystkie ujemne strony charakteru Moskali; wypuklają się, nabierają plastyczności tem wyrazistszej, im bardziej różnią się od charakteru Anglików. Niestety, niektóre ze znamion dostrzeżonych i podniesionych przez Burnaby'ego nie są wyłączną własnością Moskali. Z równem prawem i w równej niemal mierze mógłby on parę ze swych uwag i do nas zastosować. Posłuchajmy np. co mówi autor o lekceważeniu języka rodzinnego i o manji paplania po francusku.

Przybyłem do Petersburga pod wieczór. Ponieważ nie wypadało o tak spóźnionej porze składać wizyt, postanowiłem tedy udać się do teatru na jakąkolwiek narodową komedję moskiewską. Chciałem choć powierzchownie zobaczyć, jak wygląda sztuka u Moskali. Tymczasem okazało się, że żaden z teatrów petersburgskich— a jest ich kilka — nie gra tego dnia po moskiewsku. W jednym grano jakaś komedję niemiecką w języku Goethego; w drugim przedstawiano jakąś farsę francuską po francusku; w trzecim dawano operetkę Offenbacha; w operze spiewano po włosku, słowem, na kilku scenach

Petersburga można było usłyszeć wszystkie europejskie języki z wyjątkiem moskiewskiego. Jestto zresztą naturalnem następstwem tej dziwnej antypatji, jaką arystokracja moskiewska odczuwa do wszystkiego co jest rodzimem, a przedewszystkiem do rodzimego języka. *C'est bon pour les Moujiks, mais la français est le langue des gens bien élévés*, powiedział mi raz jeden z arystokratów moskiewskich akcentem tak twardym, tak ostrym, szorstkim i nieprzyjemnym, pomimo, że silił się na akcentację paryską, iż wywarł na uszy moje wrażenie to samo, jakie zielone jabłko wywiera na zęby. Coby to u nas powiedziano o człowieku, któryby z żoną i dziećmi rozmawiał po francusku? A cóżby mówiono o *miss*, którаby umiała tylko po francusku pisać poprawnie i chlubiłaby się tem, że „niewinne" popełnia błędy w angielskim? Owoż to co u nas, nad Tamizą, byłoby czemś kompletnie niezrozumiałem, tutaj, nad Newą, jest rzeczą zwykłą, codzienną. Przywiązanie do rzeczy rodzimych, tak godne poszanowania nawet w swych ekscesach, jest uczuciem zgoła nieznanem w Petersburgu. Moskal, a głównie arystokrata moskiewski, z pogardą patrzy na wszystko co krajowe, szanuje zaś tylko to co nosi na sobie zagraniczną etykietę. Fechtmistrzów francuskich większym otacza respektem niż swoich filozofów, a najnędzniejsze wyroby francuskie przedkłada nad najlepsze swoje. Że takie postępowanie arystokracji moskiewskiej oddziaływa szkodliwie na rozwój krajowego przemysłu, to się samo przez się rozumie.

Cały ten ustęp, z wyjątkiem uwagi o teatrach, można było do niedawna jeszcze zastosować do całej naszej arystokracji, zaś dzisiaj do pewnej, wprawdzie najgorszej jej części.

Zgorszony był bardzo Burnaby skłonnością Moskali do pijaństwa. Stało się to u nich prawie nałogiem, a co najgorsza, że nałóg ten nie kompromituje bynajmniej nikogo, zwłaszcza w sferach wojskowych. Przeciwnie uważają jako bohatera człowieka, który jak mi oni powiadają „ma silniejszą głowę" i może spoić drugich, a sam utrzymać się na nogach. Dziwne zaiste pojęcie o sile głowy! Ulubionym napojem oficerów moskiewskich jest przyrządzany przez nich poncz, *dżonką* zwany. Oddawszy się podczas obiadu libacjom, o których pojęcia nie mają w Anglji, nawet w sferach najbardziej uprawiających kult bożka Bachusa, wychyliwszy sporo butelek Bordeaux i szampańskiego, do którego Moskale szczególną czują predylekcję, przystępują oficerowie po obiedzie do przyrządzenia sobie owej *dżonki*. W tym celu do dużej srebrnej wazy leją wódkę, rum, rozmaite likiery i wina, zarówno białe jak i czerwone; wrzucają jabłka, gruszki i przeróżne owoce pokrajane w cienkie plasterki, dodają cukru i stawiają na ogniu. Gdy płyn ten ogrzeje się, wlewają go w szklanki i piją zanim ostygnie. Siła tego napoju jest podobno w prostym stosunku do czasu, jaki stał na ogniu i naturalnie do ilości rumu, wódki i mocnych likierów. Wszelako *dżonka* w tej formie i w tej proporcji, w jakiej ją urządzają Moskale, posiada niemal zabójczą siłę. A jednak Moskale ją piją szklankami, i to właśnie w najwyższych sferach moskiewskiego społeczeństwa. Dla ludu jest ona za drogą, za to też upaja się on wódką... aż do zbydlęcenia. Ale czyż może lud odzwyczaić się od pijaństwa, kiedy tak zły przykład dają mu klasy wykształcone. Bierze on je za wzór, i jak we wszystkiem tak i w tem idzie w ich ślady.

Od niedawna — pisze dalej p. Burnaby — wprowadzono w pierwszych hotelach moskiewskich zwyczaj jadania wieczorem obiadu przy *table d'hôte*. Ponieważ to jest moda francuska, przyjęła się więc prędko i dzisaj każdy Moskal, uchodzący za coś lepszego, miałby to sobie za ubliżenie, gdyby mu zaproponowano obiad o porze, w której jadali jego rodzice. Obiady jadają dobre. Szczególnie mi się to podobało, że zastawa jest bogatą. Podają bowiem zwykle do stołu rozmaite *hors d'oeuvre*, istotnie wyśmienite jak np. kawior, przeróżne ryby, wędzone i marynowane, najrozmaitsze wędliny, suszone owoce etc. Doskonałe także urządzają zupy z ryb, nieznane wreszcie Europy. Koło mnie siedział jakiś jenerał inżynierji wojskowej. Wkrótce zawiązała się między nami rozmowa, i naturalnie o polityce. Trzeba bowiem wiedzieć, że nie ma może na całej kuli ziemskiej narodu, któryby z takiem zamiłowaniem rozprawiał o polityce z cudzoziemcami, jak Moskale. Każdy z nich uważa się, że jest na małą skalę Gorczakowem, a pozując na kanclerza *en miniature*, żywi to przekonanie, że obowiązkiem jest jego, bronić polityki państwa. I co jest najciekawsze i zarazem najbardziej charakterystyczne, to to, że broni jej dobrze, to jest, że używa w rozumowaniu swem tych samych argumentów, którеmi zasłania się wobec Europy oficjalna Moskwa. Ale nie myślcie żeby on je czerpał z rządowych depesz lub okolników i wyuczał się na pamięć. Bynajmniej, on je wydobywa z swych piersi, źródła ich szuka w swych własnych politycznych aspiracjach. I to jest właśnie najważniejsze i najbardziej zasługujące na uwagę mężów stanu Europy. Świadczy to bowiem, że Moskwa prowadzi narodową politykę, a nie jeno rządową, że w politycznych swych dążnościach nie mija się nigdy z aspiracjami swego ludu. Każdy z Moskali jest naprawdę Gorczakowem, każdy mógłby zostać kanclerzem i kierować nawą państwa, bo każdy z nich te same ma polityczne dążności i tak samo świadom jest ich celu, jak i prawdziwy Gorczaków. Ale wracam do mego sąsiada. Wypiwszy kieliszek wódki, przetrąciwszy kilka rozmaitych *hors d'oeuvre* i spożywszy talerz zupy, Moskal mój, widocznie przekonany, że dla mnie pod słońcem nic nie ma ważniejszego nad Indje, a chcąc w roli gospodarza na swej ziemi uspokoić mnie w tej mierze, odezwał się nagle do mnie w te słowa: „Wam, Anglikom, zdaje się, że nam się tak bardzo zachciewa waszych Indyj, a tymczasem nie widzicie tego, że one same lada dzień ulotnią się wam. Przyznam się panu, że z zajęciem studjuję Indje, krok w krok śledzę czyny wasze i przekonywam się, że postępujecie najnieroztropniej, bo rozszerzacie w Indjach oświatę, cywilizację, dobrobyt etc. Jak to można z ludem podbitym tak naiwnie postępować? Jak można pozwalać mu żyć tak, aby on mógł przyjść do świadomości swej siły? Nie mówię żeby go maltretować, o nie, jestem liberalnym (sic!) człowiekiem; ale należy go zawsze trzymać w surowym rygorze. Wy zaś szerzycie oświatę, uczycie czytać, a czytanie podnieca do myślenia. Cóż wtedy nastąpi gdy Indjanie myśląc i przemyśliwając, przyjdą do wniosku, że trzeba im zrzucić jarzmo angielskie? O wierz mi pan, że Anglja samobójczo pracuje w Indjach."

Miły egzemplarz, ten jenerał moskiewki. I to człowiek, który ma siebie za liberalnego.

Oprócz zbieraniem wzorków, zajął się Burnaby gorliwie wyrobieniem sobie pozwolenia z ministerjum wojny do odbycia podróży do Chiwy. Wysoka protekcja i usilne zabiegi ambasadora angielskiego zdołały w końcu zachwiać postanowienie Milutina, ministra wojny. Bał się on skandalu i podpisał paszport Burnabyego. Co dziwniejsza, że nic to Burnabyego nie kosztowało. Dotąd, powiada on, nie opłaciłem wcale haraczu czynownikom moskiewskim, chociaż już parę razy wyraźnie nawoływano mnie do tego obowiązku.

Odpowiedź Milutyna na moje podanie, pisze Burnaby, zredagowana acz w stylu urzędowym, bardzo jednak grzecznie, ostrzegała mnie, abym w Azji środkowej trzymał się ściśle w granicach państwa moskiewskiego, gdyż po za niemi rząd nie odpowiada za moje bezpieczeństwo. Cóż za dziwne rozumowanie? Co za oryginalna logika? Któremuż to rządowi na świecie przyszłoby do głowy ręczyć za czyjeś bezpieczeństwo po za granicami swego państwa? Więc chyba to jest rodzaj groźby, rodzaj ostrzeżenia, iż może mnie spotkać wcale nieprzyjemna katastrofa. Odpowiedź nie była mi odesłaną wprost do mego hotelu, pomimo że mój adres znano dobrze w ministerjum wojny, ale doręczona mi została w drodze urzędowej, za pośrednictwem ambasady, gdzie z każdego dokumentu zdejmują kopję. Więc może p. Mulutin chce już naprzód umyć ręce od wszelkiego podejrzenia, iż wziął udział w katastrofie, która mnie spotkać może. Ostrzegałem, powie, ale cóż, nie trzymał się w granicach mej władzy, a macie w aktach waszych dowód, żem go prosił, aby tych granic nie przekraczał. Dla zrozumienia całej przewrotności tego ostrzeżenia, dodać należy, iż na żadnej mapie, nawet na mapie morskiego sztabu jeneralnego wydanej w r. 1875, nie wyznaczono wcale granic Moskwy od południa. Więc gdzież jest ta linja, której ja pod karą śmierci przekraczać nie powinienem? Gdzie się opiera ona do kata? na Himalaju? czy może już na Oceanie indyjskim? (C. d. n.)

---

# O BUDOWIE
## LUDZKIEGO ORGANIZMU I JEGO ŻYCIU

przez

DR. GUSTAWA POLIŃSKIEGO.

*(Ciąg dalszy.)*

**Skóra pokrywa cały system muskularny, przylega doń ściśle. Pokład tłuszczowy pod tąż skórą umieszczony, wypełnia wszelkie odstępy i zagłębienia, i całemu ciału nadaje wdzięczną estetyczną postać, którą starożytność idealnie przedstawiła w klasycznych posągach, a teraźniejszość wielbi nietylko w marmurze ale w całym nadobnym zastępie płci pięknej.... Nic na tem nie traci wdzięczny uśmiech koralowe okraszający usteczka, skoro rzeknę, iż jest on wynikiem ruchu pewnej grupy mięśni twarzowych, nic nie ujmie piękności kruczym lub jasnym splotom, choć nauka włos uważa jako cieniutką rurkę z pojedynczych rogowych uformowaną łusek.**

**Wszakże dzieło wyszłe z pod pęzla Kaulbacha lub Matejki jest płótnem pociągniętem farbą olejną a jednak zachwyca umysł, pieści zmysł oka. Nie zrażając się przeto prozą anatomii, pójdźmy dalej. Jeżeli kogo zabolało gardło, z pewnością wziął lusterko do ręki, i starał się zobaczyć, co się tam takiego stało. Niechcący ujrzał tak nazwaną jamę ustną, zęby, język, a kiedy jeszcze lepiej otworzył usta zobaczył, węższe przejście opatrzone ku górze języczkiem, a po bokach mające dwie składki błony śluzowej, niby**

dwie firanki umieszczone jedna za drugą. Po za temi firankami, widać jeszcze tylną ściankę, a dalej nic już zobaczyć nie można. O tej niewidocznej części mówić zamierzam. Stanowią ją dwa kanały, jeden błoniasty w kształcie rurki zwany *przełykiem*, służy do przeprowadzania pokarmu z ust do żołądka, drugi chrząstkowaty składa się najpierw z rodzaju pudełeczka, utworzonego z pojedynczych chrząstek, pudełeczka, otwartego u góry i u dołu. To pudełeczko nazywa się krtanią. Krtań u góry opatrzona jest klapką, która zamykając się przy każdem połykaniu, niedozwala na wpadnięcie pokarmów do wnętrza, jedno tylko powietrze swobodnie wchodzić tam może. W krtani owej znajdują się przyczepione po bokach struny głosowe, uformowane ze sprężystej tkanki. Struny te jak i wnętrze ust pokryte są błoną śluzową i tworzą dwie fałdki, które wolnemi brzegami stykając się stanowią szparę głosową. Krtań więc jest aparatem głosu i mowy, a zarazem początkiem przewodu oddechowego, przez który powietrze wchodzi do płuc. Jakaż jest forma tego przewodu?

Oto zaraz pod krtanią, którą tak dobrze na szyi uczuć możemy, i która nam przy połykaniu w górę z pod palców usuwa się, idzie rurka grubości mniej więcej wskazującego palca od ręki. Rurka ta zwie się tchawicą, ściany jej utworzone z chrząstkowatych pierścionków połączonych z sobą sprężystemi więzami. U spodu rozdwaja się ona widełkowato na dwie rurki już cieńsze, a te następnie ciągle się rozdwajając, tworzą tak nazwane oskrzela. Jeżeli wezmę za przykład małe drzewko, to pień jego wyobrazi nam tchawicę, a gałązki, i najdrobniejsze końcowe gałązeczki, doskonale uzmysłowią przebieg przewodów oddechowych. Jak gałęzie drzewa są pokryte liśćmi, tak i owe rurki puste w środku, tak i owe oskrzela połączone są z niemierną ilością drobniutkich pęcherzyków o cienkich ściankach, a ułożonych w gronka, i te pęcherzyki nazywamy pęcherzykami płucnemi. One to właśnie jakby drobne banieczki zakończają szereg cieniuchnych rurek i łącząc się z temi rurkami, i same z sobą przez małe otworki stanowią tkankę płucną. Płuca więc są to dwa worki powietrzne, dwa pęcherze kurczliwe, sprężyste, a zadaniem ich jest dostarczanie organizmowi coraz nowej ilości powietrza, którego składniki są nieodzowne dla życia.

Z kolei wspomnieć należy i o sercu, bo ono również jak to każdemu wiadomo, w klatce piersiowej jest umieszczone.

Serce! — o tobie śpiewają poeci — ciebie smętna duszyczka pyta w zadumie samotnej.

Serce, serce, zkąd to bicie
I co znaczą troski twe?

o tobie plejada powieściopisarzy, miljony wypowiedziała historji, mam-żeż cię pracowita mrówko, nazwać workiem mięsnym pod zielonym na dwa przedsionki i dwie komórki, mam za przykładem Kraszewskiego, kreślić jeden ustęp z powieści „Świat i poeta". Niestety... tak jakoś wypada.

Serce więc jest workiem wielkości pięści, podzielonym na cztery przegródki dwiema ścianami, z których pierwsza jest podłużną, druga poprzeczną.

Część leżąca nad przegrodą poprzeczną jest *przedsionkami*, pod nią zaś *komórkami*. Przedsionków jest dwa, prawy i lewy, jest także prawa i lewa komórka. Zadaniem serca jest zaopatrywanie krwią całego organizmu, jest ono niejako pompką ssącą tłoczącą, która ową krew rozsyła i zbiera. Serce łączy się w tym celu z systematem rurek sprężystych niby rurki kauczukowe, które obszerne z razu przy wyjściu z serca, dzielą się na coraz drobniejsze naczyńka i nareszcie dochodząc maleńkich przez mikroskop widzialnych rozmiarów, tworzą siateczkę delikatną w mięśniach, kościach, skórze, płucach, wnętrznościach i tak dalej. Krew więc dochodzi do każdego organu, do każdej części ciała, odżywia ją i utrzymuje. Ale w skutek owego procesu, krew zużywa się, traci swoje chemiczne składowe części, a mianowicie gaz zwany *tlenem*, ona już do odżywiania niezdatna, należy jej owego tlenu będącego w powietrzu dodać, otóż uskuteczniają to płuca, które zawsze świeżem pewietrzem są wypełniane.

Krew dochodząc do muskułów, skóry, trzewi, żołądka, płuc i t. d., przez owe rurki sprężyste, przez arterje, (tętnice), drugim systematem rurek, już o ścianach nie tak sprężystych i grubych, (które to rurki zwią się żyłami), powraca do serca, a serce wysyła ją do płuc. Taki mechanizm nazywa się cyrkulacją, krążeniem krwi.

Spróbójmy skreślić przebieg tej czynności...

Mówiłem że serce dzieli się na dwie połowy, prawą i lewą a każda połowa ma część górną zwaną przedsionkiem, dolną zaś komórką nazwaną. Połączmy każdą z takich połówek dwiema rurkami, jedna otwierająca się do przedsionka będzie żyłą, druga z komórką połączona tętnicą. Przez żyły płynie krew do przedsionka, przedsionek ten ma ściany kurczliwe, jakby jaki sprężysty woreczek, a łączy się za pomocą otworku opatrzonego klapką, z położoną pod nim komórką. Skoro krew przedsionek całkowicie wypełni, on natychmiast szybko się zwęża, i wciska krew przez ów otwór w klapką, do komórki. Więc komórka sercowa napełnia się krwią całkowicie, ale na nią nadchodzi kolej pracy. Również jak przedsionek kurczy się i zwęża, a krew nie mając się gdzie podziać, ulega parciu, i wbiega z pewną siłą w rurkę czyli tętnicę, która jest połączona z wnętrzem komórki.

Jednem słowem serce poruszając się ciągle, pompuje krew z żył, a wylewa ją w tętnice. Ponieważ do tętnic coraz nowa część krwi przybywa a z żył ubywa, ztąd w całym systemacie powstaje posuwanie się tej krwi wciąż dalej i dalej, ciągle w kółko zwane krążeniem krwi.

Wyobraźmy sobie, że wszystka krew żylna z głowy, rąk, nóg, wnętrzności, słowem z całego ciała, przez żyły, co jak strumyki drobne zbiegają w jeden większy potok, że ta krew spływa do prawej połowy serca, a mianowicie do prawego przedsionka, przedsionek przyjmuje tej krwi na raz tyle ile pomieścić może i kurcząc się wypycha swoją zawartość do prawej komórki, prawa komórka połączona jest z aterją płucną. Skoro ona się skurczy, część krwi w niej zawarta, przez tętnicę płucną nie gdzieindziej tylko do płuc wysłaną zostanie. Płuca zaś, jak to już wyżej wspomniałem, są zbiorem maleńkich pęcherzyków, wypełnionych powietrzem, przez oskrzela do niej doprowadzanym. Otóż każdy taki pęcherzyk płucny jest opleciony drobniutką siateczką naczyń krwionośnych, utworzonych przez rozgałęzienie tętnicy płucnej. Ścianki tych naczyń są tak cienkie i delikatne, że powietrze w płucach zawarte przenikać przez nie może, i tym sposobem dostarczać ciemnej krwi żylnej kwasorodu (tlenu), i zamieniać ją na czerwoną czyli tętniczą. Krew taka już zdatna do potrzeb organizmu, z owych drobniutkich rozgałęzień, przechodzi w coraz większe i grubsze przewody, czyli w żyły zbierające krew z płuc (żyły płucne). Żyły te w liczbie czterech przeprowadzają krew do lewej połowy serca, czyli do lewego przedsionka, ztamtąd idzie ona do lewej komórki, a następnie przez najobszerniejszą ze wszystkich arteryj, *aortę*, dostaje się do wszystkich organów ciała. Czyli krótko mówiąc krew spływa żyłami z całego ciała (żylna krew) do prawej połowy serca, ztamtąd do płuc, i następnie zamieniona w płucach na krew tętniczą wraca do lewej połowy serca, aby znów na całe ciało tętnicami rozdzielić się, rozpłynąć.

(C. d. n.)

---

## ZŁOTE WESELE.

**Z okoliczności 50 letniego jubileuszu J. I. Kraszewskiego.**

Bracia wesele-ż to,
Ciekawość kto i z kim?
Przez polskie wioski het
Jak się gościńce mają,
Aż po ostatni szlak,
Aż po ostatni dym,
Fujarki wdzięcznie dmą,
A skrzypki zagrywają.
Nie jeno z polskich niw
Ościennych Słowian plemię,
Czech miły sercu druh,
I Rusin spieszy wraz,
Wszystkie tu pobratymy,
Wszystkie kochane ziemie,
Jak wielu posiał Bóg,
Wyniańczył ojciec las,
Wykołysały góry,
Łąki kwieciem barwione,
I łany bujnych zbóż
I morskie fale słone.
Dobry i godny lud
Gromadą ruszył całą,
Więc masz tu Ruś Czerwoną,
I masz tu Ruś i Białą,
Litwina z ciemnych kniei,
I od piaszczystych ław
Żmudzin pobożnie ciągnie
Na ony głos wesela;
Nie sen Józefie to,
A przenadobny jaw,
Otoć Słowaków nas
Jako na tyczkach chmiela.
Wiecznemu Bogu chwała,
Józefie korz się Panu,
Bo oto sfera cała
W jeden uderza głos,
Za twoje serce bratnie,
Otoć z każdego łanu
Oddaje ci w nagrodę
Dziesiąty złoty kłos.
Za twoje ciche łzy,
Za życzliwe uśmiechy,
Za prace bez wytchnienia
Przez te pół wieku całe,
Na wesele twe wszystkie
Pojaśniały nam strzechy,
I świadek pracy twej
Patrzy też słońce białe,
Co z Gopła modrych fal
Jak Lach przyjąwszy chrzest
Podnosi głowę złotą,
Promienie rzuca w krąg,

Ziemia do ślubu kwieciem
Przystroiła się łąk.
I jej też poślubiony
Bada się kędy jest.....
Słońce czy nasz opiekun
Niebieski Anioł-Stróż,
Który nad dusze ludzkie
Straż wiekuistą trzyma,
A gra nam szumem wód
I kołysanych zbór,
A patrzy dzieci Bożych
Niewinnemi oczyma.
Więc kadzielnicę wziął
I przewiał wonią świat,
Na uroczysty dzień,
Na to wesele złote.
Na to małżeństwo dusz
Święte pięćdziesiąt lat
Starł z oczu polskich łzę,
I z czoła zwiał tęsknotę.
Na groby rzucił garść
Tych nie więdnących róż
I otchłań straszną zgonów
Przysłonił swym ornatem,
I pokrył gruzy miast
Grobowych krzyże wzgórz,
I kazał światu być
Anielskiej sfery światem.
A na skinienie Jego
Od niedościgłych gwiazd,
Z przebytu chwały swej,
Świadkowie schodzą z gór;
Więc naprzód ciągnie Lech
I kmiecy cichy Piast,
A za nim Jagiellony,
Chórowody i chór.
Zasiadły Gopła brzeg
Witać gotowi parę:
Józefa z Polską tą,
Z którą się duchem zżył,
Piastowskie duchy stare
I zamków wieże stare,
I synów żywych łzy,
I kości zmarłych pył.
I owo święty wiec
Zarządza podnieść śpiew
Jako gdy wróci Pan
I chat sieroctwo minie,
Przy brzęku setnych rzek
I kołysanych drzew,
Józefie, witaj nam!
Kmieciu i Hospodynie.

Ty coś Piastowy pług
Uczcił, i szabli starej
Wiekową obmył rdzę
We własnych lez ulewie,
I Polskę czcił przeczystą
I świętej bronił wiary,
Józefie, witaj nam.
Cześć tobie w gminnym śpiewie.
Chóralne pieśni ludu
Zawodzi głucha leś,
Olbrzymie nowych dni
Ty nie na Pelion Ossę
A lilie Polskie nieś,
I Polską wiarę nieś,
I naszych duchów moc,
I naszych powiek rosę,
A za półwieczny bój
Oto ci ptak nasz biały
Wawrzyn przynosi swój,
A błogosławi Piast,
Złote wesela głosy
Roznoszą Karpat skały
I wiosek cichych świat,
I starych wieże miast.

Pierwszy ty, odkąd czas
Wieki dziejowe mierzy,
Rozlicznych ludów cześć
Odbierasz w świętej zgodzie,
Nikt pełnej nie wziął tak
Żaden z starych rycerzy,
Za życia pierwszy ty
I słuszna dzieł nagroda,
Drzemiące czucie ty
Rozbudzałeś w narodzie,
O tobie z czasów tych
Wiek wieku wieści poda.
Sam jeden nad mogiłą
Na wstręcie wichrom stał,
Sam jeden żywe słowo
W synowskiem sercu miał.
I za nim jednym wzroki
Zwracały się stęsknione,
Naród w nim moc swą czuł
I czasy swe zielone.

*Teofil Lenartowicz.*

---

# DZIECI HELENY.

POWIEŚĆ.

*Przekład z angielskiego.*

*(Ciąg dalszy).*

— Jeszcze pierwej, Bozi zaraz słuchać potrzeba — wtórował Charley na poparcie słów brata.

— Teraz gadaj nam co innego.

— O, nie, zaśpiewaj nam co — prosił Edwardek.

— Zaśpiewaj — powtarzał Charley.

Szukałem w pamięci jakiej piosenki, ale jedyną jaka mi się nasunęła na prędce, było „M'Apparé.“ Prześpiewałem ledwo parę zwrotek przed mojem młodzieńczem audytorjum, gdy Edwardek przerwał mi mówiąc:

— Nie zdaje mi się żeby to była dobra piosenka.

— Dlaczego Edwardku?

— Bo mi się nie zdaje. Nie rozumiem ani słówka z tego coś śpiewał.

— Zaśpiewaj gloria, gloria, alleluja — prosił Charley, a ja byłem chętnie posłuszny. Ta stara nuta wywiera dziwny wpływ na mnie. Tyle razy słyszałem ją najpierw w dzieciństwie, a później w obozie; widziałem 22gi pułk Massachuset idący z nią do ataku; słyszałem ją spiewaną niemal w każdym z południowych stanów; słyszałem jak ją ryczały gardła trzystu poczciwych demokratów, gdy eskortowali pierwszy pułk w barwach Nowego Yorku, na miejsce jego embarkady; moja brygada śpiewała ją z cicha, ale z przejęciem strasznym w swojej powadze i spokoju, gdy towarzysze leżeli ukryci za bronią w kozły poustawianą chwilą przed rozpoczęciem utarczki. Na pół zbuntowany pułk kawalerji, powrócił do porządku i uczuć patrjotycznych, gdy mu szlachetny kapelmistrz zagrał tę pieśń potężną. Ona to wionęła w niebo z każdego namiotu, owego radośnego poranku, gdy się wieść rozbiegła że wojna już skończona; i śpiewano ją podkładając słowa stosowne do okoliczności, na zebraniach przyjacielskich po ustaniu wojennej grozy. Wszystkie te wspomnienia napadły mnie tłumem, gdym śpiewał, i musiały mnie unieść mimowolnym zapałem, bo naraz Edwardek przerwał mój śpiew uwagą:

— Nie śpiewaj tego codzień, wujciu Harry; spiewasz tak głośno aż mnie głowa boli.

— Przepraszam cię Edwardku — rzekłem;

— Dobranoc wam teraz dzieci.

— Jakto, już idziesz wujciu? jeszcześmy przecież paciorków nie zmówili; tata zawsze słucha jak się modlimy.“

— A dobrze — zaczynaj.

— Nie, ty zmów pierwej twój pacierz; tata zawsze tak robi.

— I owszem — odpowiedziałem, i zmówiłem modlitwę św. Chryzostoma. Zaledwie wyrzekłem „Amen“, Edwardek zauważył:

— Mój tata nic tego wszystkiego nie mówi; zdaje mi się że to niedobry paciorek.

— No, to ty zmówisz lepszy, Edwardku.

— Dobrze. Przymknął oczka tak że twarzyczka jego wyglądała całkiem jak model śpiącego Cherubina, i zniżywszy glos swój w ton najbardziej błagalny, mówił ze złożonemi rączkami:

— Kochany Boże, dziękujemy Ci za ten dzień cały, i mamy nadzieję że wszystkie dzieci na świecie były dziś takie szczęśliwe jak my. Prosimy Cię, żebyś czuwał nad wszystkimi i bronił nas od złego. A, prawda: wujcio Harry ma cukierki w kufrze, powiedział to w powozie, — dziękujemy Ci za to żeś wujciowi dozwolił do nas przyjechać, i przywieźć dużo, dużo cukierków, całą paczkę i pudło! I prosimy Cię żebyś miał w opiece wszystkich biednych chłopczyków i dziewczynki, którzy nie mają ani mamy, ani taty, ani wójcia Harrego, ani cukierków, ani łóżeczek, ani nic. A gdy pomrzemy, zabierz nas wszystkich do nieba, przez Chrystusa, Pana naszego. Amen. Teraz daj nam cukierki, wujciu Harry.

— Pst, Edwardku — Charley przecież także musi zmówić paciorek.

— A, prawda; dalejże—zaczynaj Charl'u.

Karolek stulil oczka, zaczął kręcić i wyciągać paluszki, sapać i wzdychać raz po raz, jakby te wszystkie ćwiczenia stanowiły u niego modlitwę. Nareszcie zaczął:

— Drogi Boziu — zrób żebym był grzeczny, i błogosław mamę, tatę, i Edwardka, i dziadzia, i obie babunie, i wszystkich dobrych ludzi, i wszystkich innych, i moją laleczkę. A—a—amen!

— Teraz daj nam cukierki.

Prędko wyciągnąłem je z kuferka, wetknąłem po kilka każdemu z malców, i znowu rzekłem „Dobranoc.“

— O, jeszcześ nam nie dał nowych groszy; tata co wieczór daje nam świecące grosiki do skarbonek.

— Nie mam teraz groszy; dam wam jutro.

— No, to daj nam mléka do picia.

— Każę Małgosi przynieść wam mléka — spijcie.

— Chcę mojej laleczki — zamruczał Karolek.

Ujrzałem w kącie te brudne łachmanki, podniosłem je ze wstrętem dwoma palcami i cisnąłem na łóżko.

— Teraz chcę widzieć jak się kółka kręcą.

Wypadłem z pokoju, i zatrzasnąłem drzwi za sobą — spojrzałem na zegarek — było już pół do dziewiątej: półtory godziny spędziłem z temi straszliwemi dziećmi! Były one jednak tak zabawne, że mimo gniewu, śmiać się z nich musiałem. Jednak jeźli myślą w ten sposób cały mój czas zabierać, ciekawym co będzie z mojem czytaniem?—Wyjąłem z tłumoka „Cosmic Philosophy“ Fiskego i wróciwszy znów na dół, zapaliłem sobie

lampkę i cygaro, i wziąłem się do pracy. Zaledwie jednak zagłębiłem się w niej na dobre, usłyszałem po za sobą drobne kroki bosych nóżek, i nim się obejrzałem stanął przedemną starszy mój siostrzeniec. Cała jego twarzyczka i postać wyrażała serdeczne rozżalenie, gdy zawołał:

— Nie powiedziałeś nam ani „Bądźcie zdrowi“ ani „Niech was Bóg ma w swojej opiece,“ ani nic!

— Oh — bądźcie zdrowi.

— Bądź zdrów.

— Niech was Bóg ma w swojej opiece.

— Niech cię Bóg ma w swojej opiece.

Edwardek zdawał się jeszcze na coś czekać; nareszcie odezwał się: „Tata dodaje, Bóg niech ma w opiece wszystkich ludzi!“

— I owszem — Bóg niech ma w opiece wszystkich ludzi.

— Amen — dodał Edwardek; potem obrócił się cicho i poszedł na górę.

— Gdyby tak wszyscy ludzie słuchali Boga jak ty swego taty, — pomyślałem — lepiejby się działo na świecie.

Noc była prześliczna, a świeżość i balsamiczność powietrza, woń kwiatów, muzyka chóru owadów pośród drzew i krzewów, wszystko, słowem, jakby się zmówiło aby mi nie dać ślęczeć nad filozofią. Odrzuciłem więc na bok Fiskego, a wziąłem się do nowo wydanych poezyj Heinego; potem przerzuciłem parę rozdziałów z powieści „Jedno Lato,“ i narezcie udałem się do mego pokoju, spocząć po trudach dziennych. Siostrzeńcy moi spali słodko, i patrząc na te lube, spokojne twarzyczki, trudno mi było uwierzyć, żeby one należały do tych samych nieznośnych malców, którzy byli moją plagą parę godzin temu. — Z posłania mojego mogłem widzieć olbrzymie i ciche cienie przeciwległej góry; powyżej na tle błękitu rozsiane były srebrne gwiazdy wieczora, a niżej w ramach ciemnej zieleni krzewów, mijały się i goniły błyszczące owady, fosforycznym blaskiem walcząc z gwiazd promieniami. Milczenie zaległo w około; nie słychać było znikąd tego łoskotu kół fabrycznych, co miasta napełnia duchem niepokoju i pośpiechu; a ja rozkoszując się tym czarem, wpadłem w podziw jak ludzie mogą wytrzymać w tym obrzydłym Nowym-Yorku, gdy takie rajskie ustronia znajdują się pod ręką. — Potem przyszła mi na myśl Alicya Mayton, a potem kantor i kupujący; dalej, gwiazdy i pokwitowania, bukiety, zamorusani siostrzeńcy, łoskot kół lokomotywy, i świętojańskie robaczki, i omyłki w księdze rachunkowej, i cukierki i Fiske, wszystko zlączyło się w jeden chaos w mojej głowie. W końcu nasunęło się widzenie dumnego anioła w stroju najświeższej mody w eleganckiej karecie, przed którem pierzchły wszystkie inne, i powoli zacząłem wpadać w błogą nieświadomość wszystkiego... W tem „ue, ue, ue,“ odezwał się płacz dziecinny z sąsiedniego pokoju.

— Pst, cicho!

Nastąpiło milczenie, więc wkrótce znowu usnąłem.

— Ach—ach—ach — odezwał się znów z innego tonu.

— Charl'u, czy chcesz co oberwać od wujcia?

— Nie.

— No to leż cicho.

— Ale zgubiłem w łóżku laleczkę i nie mogę jej nigdzie znaleźć.

— Ja ci ją jutro znajdę.

— Ach, ach, ja chcę teraz mojej laluni!

— Mówię ci że jej jutro rano poszukam.

— Chcę jej zaraz! — ach, ach.

— Nie możesz dostać jej teraz — więc spij cicho!

— Ach, ach, ach, moja laluniu! moja laluniu!!

Wściekle wyskoczyłem na równe nogi, i pobiegłem do pokoju malców. Po drodze palnąłem czołem o drzwi. Zgrzytnąłem zębami zapalając świecę, i wyrwało mi się słów parę — mniejsza o to jakich.

— Oho, powiedziałeś brzydkie przekleństwo—filozofował Charley.—Nie pójdziesz do nieba po śmierci.

— Ani ty także, jeżeli będziesz wył jak małe diable przez całą noc. Będziesz mi cicho teraz?!

— Tak, ale chcę mojej laleczki.

— Ja nie wiem gdzie twoja lalka; czy myślisz że będę cały dom do góry nogami przewracał za twoją przeklętą lalką?

— Nie przeklęta! — Chcę mojej laleczki.

— Mówię ci, że nie wiem gdzie jest. Przecież nie myślisz żem ci ją ukradł, co?

— Co mi tam! Chcę ją mieć tu ze mną, w łóżeczku.

— Karolku — przedkładałem — „jutro rano jak wstaniesz, z pewnością znajdzie się laleczka; ale tymczasem spij spokojnie; przykryję cię cieplej, tylko spij,“ — zacząłem poprawiać kołderkę, gdy nagle z jednego z fałdów, wypadła nieszczęśliwa lalka, przyczyna całej mojej biedy. Charley złapał ją w powietrzu, i cała twarzyczka rozbłysła mu uniesieniem miłości, gdy wołał:

— Oh, jest moja laleczka! chodź do twego własnego taty laluniu, chodź, niech cię pokocham!

I to śmieszne dziecko tak było zadowolone wylaniem swego uczucia, że gniew mój musiał ustąpić, i patrzyłem na niego jak na obraz, z przyjemnością artysty. Można się jednak znużyć nawet pięknemi obrazami, gdy się jest nie zupełnie ze snu wytrzeźwionym, i stoi się do tego na przeciągu, ze świecą zapaloną w ręku. To też nakrywszy tylko lepiej moich siostrzeńców, wróciłem do własnego pokoju, gdzie rozmyślałem nad sprzecznością charakteru dziecięcego, póki mnie sen zupełnie nie zmorzył.

Z rana obudziło mnie światło bijące z okien wprost w oczy, bo w wieczór zapomniałem był spuścić rulety. Powietrze dźwięczało śpiewami ptaków, a niebo na wschodzie powleczone było barwami, jakich nie posiada żadna paleta malarska. Jednakże, przedwschodowe blaski słońca i pieśni, nie są to rzeczy pożądane dla człowieka, który do północy czytał, a po północy szukał lalki. Co prędzej więc zapuściłem story i firanki, i wróciłem do miłego spoczynku. Czułem takie błogie „bien être“ zasypiając śród tych chórów ptaszęcych, że w cichem sercu mojem nie było miejsca na żadną niechęć do nikogo na świecie, gdy nagłe poczucie jakiejś miękkiej rączki na twarzy, pobudziło mnie do wściekłej passji w jednej chwili. Zerwałem się, i ujrzałem Edwardka, jak się trwożliwie cofał od mojego łóżka.

— Ja cię tylko chciałem trochę pogłaskać, za to żeś był dobry i przywiózł nam cukierków. Tata daje się nam głaskać i pieścić gdy tylko zechcemy. Ja go co rano przychodzę głaskać!

— Tak wcześnie jak dzisiaj? — spytałem.

— Tak, kiedy chcemy: gdy tylko tak szaro, że już widać.

Biedny Tom! Dotąd nie byłem w stanie pojąć, jak mógł przy dobrej żonie, wystarczających dochodach i czystem sumieniu, wyglądać zawsze jak stwór — gorzej nawet niż w czasie kawalerskiego życia, na swampach Luiziany lub w Wirginii. Ale teraz zrozumiałem wszystko. A jednak, cóż można było z tem począć? Głos i spojrzenie niebiańskie tego dziecka mogły opętać człowieka i dać mu siłę nawet do większej ofiary niż poświęcenie paru godzin snu. I mnie też wytrzeźwił już prawie, pocałowałem go więc i rzekłem — „wracaj teraz do łóżka pieszczochu i daj się jeszcze przespać wujciowi. Po śniadaniu zrobię ci świstawkę“

— O! doprawdy? anioł przemienił się w chłopca, w mgnieniu oka.

— Tak; ale teraz biegaj do łóżka!

— A będzie głośna świstawka — bardzo głośna?

— Tak, ale nie będzie żadnej, gdy zaraz spać nie pójdziesz.

Odgłos drobnych kroków oddalał się gdy zamykałem oczy. Śpiewy ptaków zdawały się głuchnąć, myśli moje rwały się w kawały. Zdawało mi się że pływam w obłokach, w towarzystwie tysiąca Cherubów, wszystkie z twarzyczką Edwardka i w nocnych spodeńkach.

— Wujciu Harry!

Oby Bóg zapomniał modlitwę jaką w tej chwili wysłałem do nieba.

— Wujciu Harry!

— Nauczę ja ciebie mój śliczny chłopcze— myślałem. „Może gdy ci dam krzyczyć póki nie ochrypniesz, będziesz na drugi raz wiedział czem to pachnie męczyć swego wuja nieboraka, który już właśnie był gotów pokochać cię serdecznie.

— Wujciu Har-r-ry.

— Wrzeszcz ty sobie mały krzykaczu — myślałem — „rozbudziłeś mnie ze snu, niechżeż płuca twoje za to odpowiedzą.“ Nagle usłyszałem z drugiego pokoju wpół senne mruczenie Karolka, i przerywane ziewnięciem słowa.

— Chcę — jak kółka — kręcą.

— Edwardzie — wybuchnąłem w rozpaczy żeby się jeszcze i Charlej nie obudził. „Czego ty chcesz tutaj?“

— Wujciu Harry.

— Co?

— Z jakiego drzewa zrobisz mi świstawkę?

— Z żadnego! — Urżnę grubą pałkę i zbiję cię na kwaśne jabłko, za to, że drzesz się na całe gardło, gdy ja kazałem ci być cicho.“

— Jakto? wujciu Henryku? Tata nas nigdy pałką nie bije, tylko prętem.

Nieba! Tata! tata! tata! czyż nigdy końca temu „tata“ nie będzie?

Z prawdziwem przerażeniem spostrzegłem, że bliski byłem znienawidzenia mego poczciwego szwagra. Jakkolwiekbądź, dłuższy sen był czystem niepodobieństwem; ubrałem się pospiesznie i zbiegłem do ogrodu. Świeże powietrze i kwiaty podziałały uspokajająco na moje usposobienie; tak dalece, że nawet z przyjemnością powitałem znowu Edwardka, gdy we dwie godziny później, po odezwaniu się dzwonu zwołującego na śniadanie, przybiegł do mnie z otwartemi rączkami i zawołał:

— Gdzieżeś się podział, wujciu Harry? — przeszukaliśmy dom cały za tobą, i nie znaleźliśmy ani okruszynki!

Śniadanie było wyborne, bo poczciwa Helena sporządziła naprzód *menu* wszystkich posiłków jakie miałem spożywac w jej domu. Nie widząc żeby rozmowa moja z siostrzeńcami, wymagała oddalenia się Małgosi, kazałem jej i owszem pilnować dzieci przy śniadaniu, i w ten sposób zbywszy z głowy ciężaru, sam spokojnie pokrzepiałem swoje siły po burzliwej nocy i ranku. Gdy pierw-

szy głód został zaspokojony, rozwiązały się języczki moich współbiesiadników.

— Wujciu Harry — mówił Charley — na górze jest tołmok, taki duży, taki pełny! Pokażę ci go po śniadaniu; będziemy w nim razem przewracać.

— Charley to jeszcze głupi chłopczyk—zauważył z miną wyższości Edwardek.—„On zawsze mówi „tołmok“ zamiast tłómok.

Przyszły mi na myśl wspomnienia z dzieciństwa; jak to niegdyś, zdaje mi się, że sto lat temu, jedną z największych moich rozkoszy było wertowanie starych kufrów, to też uśmiechnąłem się z porozumieniem do Charley'a, co zdawało mu się robić wielką przyjemność. O jak to słodko — myślałem — potrącić sympatyczną strunę w niewinnej duszy dziecięcia. Drogi Karolek! mogliśmy lata całe przy jednym stole siedzieć, i nie poczuć nic wspólnego między sobą. Ale to przypomnienie własnych moich zabaw, zawiązało nić porozumienia między naszemi duszami. „*Okropnie* śliczny tłómok,“ zdawał się nawet zacierać wszelką różnicę między drobnym chłopczyną a mną samym. Wtem myśl straszliwa błysnęła mi w głowie! Pędem strzały wbiegłem na schody i do mego pokoju. Tak! nie inaczej: ten smarkacz miał mój tłómok na myśli. O, jakżeż w jednej chwili przestałem uważać tę rozrywkę za bardzo śliczną! jak prysło złudzenie współczucia i porozumienia!

Gdy się na ten wypadek zapatruję z odległości paru miesięcy, które go od dzisiejszego dnia dzielą, widzę w nim jeden więcej dowód niestałości usposobienia ludzkiego. Wszak moja nagle zrodzona sympatja ku Charleyowi, powstała właśnie z tego, że i on lubił przewracać w kuferkach, i rozkoszował się wyciąganiem i rozrzucaniem w nieładzie zapomnianych od dawna gratów, a jednak, gdy wszedłszy do mego pokoju ujrzałem w tym miłym bezładzie moje własne rzeczy, to samo upodobanie stało się powodem zniknięcia spójni duchowej między nami!

Kuferek mój obejmował niemal wszystkie moje rzeczy, bo jako były żołnierz, umiałem pakowanie doprowadzić do najwyższej doskonałości. Doprawdy, gdybym był choć troszkę zarozumiałym, mógłbym się był słusznie uczuć dumnym, bo zdawało się istotnem niepodobieństwem, żeby cały ten stos rozmaitych gracików i sukien, który się piętrzył na podłodze, wyszedł z jednego tylko nie wielkiego tłómoczka. Prawda, że chapeau-claque wraz z swojem pudełkiem, zajmuje trzy razy tyle miejsca gdy ich łączność zostanie rozerwaną, nawet choćby pierwszy zawierał puszkę szwarcu do butów, nie obowiązaną do znajdywania się w nim zawsze, a w drugiem choćby parę cygar Havanna pływało w rozlanym rumie. To samo mogło być powiedzianem o przenośnej tualetce i wszystkich w niej przyborach, która mi towarzyszyła we wszystkich kolejach mego losu. Paski przytrzymujące wieko, zostały rozerwane, rozcięte, lub może nawet rozgryzione, dość że wieko odpadło zupełnie, a w jego próżnem wnętrzu, leżał najświeższy mój frak, ciasno zwinięty. Pochwyciłem go i rozstrząsnąłem z okrzykiem oburzenia, gdy nagle, z pół jego wypadła jedna z tych piekielnych lalek. W tej samej chwili wrzaskliwy płacz dał się słyszeć od progu:

— Wyjąłeś moją lalunię z kołyski, ach, ach, ach, chcę kołysać moją lalunię.

— Łotrze!—krzyknąłem—korci mnie przetrzepać ci skórę. Co ty sobie myślisz, tak mi wszystko sprzewracać w kufrze?

—Ja... wiem.—Dolna warga Charley'a zaczęła drżeć i wywracać się na zewnątrz, zdaje mi się, że ten widok byłby nawet bengalskiego tygrysa do litości pobudził, ale mnie jakoś właśnie nic podobnego do głowy nie przyszło.

— Dla czegoś to zrobił?

— Bo...

— Bo co?

— Ja... wiem.

Nagle dał się słyszeć straszny krzyk w ogrodzie, i przez okno ujrzałem Edwardka, z zakrwawionym palcem u jednej ręki, a z moją brzytwą w drugiej; później opowiadał, że chciał obstrugać kijek, i nóż był niegrzeczny dla niego. Przyłożyć plaster na skaleczenie i uspokoić malca było dziełem jednej chwili, a ledwo skończyłem, ogrodnik pełniący zarazem obowiązki furmana, podał mi list od Heleny.

Brzmiał on jak następuje, (uwagi w nawiasach są moim własnym dodatkiem):

*Bloomdale, 21 czerwca 1875.*

„Drogi Harry, uszczęśliwia mnie myśl, że jesteś z mojemi dziećmi, i mimo, że mi tu czas bardzo przyjemnie upływa, pragnę nieraz znajdować się między wami.“ (Uf, i ja niemniej tego pragnę, bądź pewna). „Chciałabym braciszku, żebyś poznał dokładnie moje drogie skarby.“ (Dziękuję, jabym wolał nie posuwać tej znajomości dalej niż dotąd, i tego mam już nadto!) „Mam cię nawet prosić o jedną łaskę. Gdyśmy byli dziećmi, jeszcze razem w domu, pamiętam, że nieraz godzinami prawiłeś o frenologji i fizyonomiach, i zewnętrznych oznakach charakteru.

„Ja wówczas uważałam to wszystko za niedorzeczy; ale proszę cię, jeżeli ty teraz jeszcze w to wierzysz, bądź tak dobry i zastanów się nad mojemi dziećmi, a po zupełnej rozwadze, wyraź mi swój sąd o nich. (Istne djablęta, moja pani; łotry, urwisze, zrodzeni na szubienicę, obydwa zarówno).

„Nie mogę pozbyć się myśli, że z Edwardka będzie kiedyś coś wielkiego. (Wielki nudziarz). Bywa nieraz tak zatopiony w myślach, że aż się boję mu przerywać: a ma do tego tę wytrwałość, której jedynie brakowało wielu ludziom, żeby ich uczynić prawdziwie wielkimi. (O, że ją ma, nie przeczę: dowodem dzisiejszy ranek, gdym ja chciał przespać się trochę).

„Karolek wyrośnie na poetę, albo muzyka, albo artystę. (Otóż to, gdy kto do niczego, ma zaraz za wymówkę powołanie artystyczne). Gdy go myśl jaka opanuje, to już na dobre. (Nie inaczej, nie inaczej! widzieć jak się kółka kręcą, na przykład). Nie posiada on tej wzniosłej powagi Edwardka, ale jej też nie potrzebuje; nieprzeparty pociąg do wszystkiego co piękne, wynagradza ten brak dostatecznie. (Aha, to mi może wyjaśnia operację z moim kuferkiem dziś rano). Ale ja ciekawa jestem twego własnego zdania o tych aniołkach, bo może trafniej ich osądzisz niż ja.

„Musiałeś się już mnóstwo rzeczy naczytać, liczę więc na wdzięczność twą dla mnie, że nie odmówisz mej prośbie. Z upragnieniem czekam na to co mi doniesiesz o dzieciach.“

„Twoja siostra“.

„Helena.“

Rzadko kiedy list jaki tak mnie wzburzył, a nigdy jeszcze nie obiecywałem sobie tyle złośliwej przyjemności w odpisie, jak po przeczytaniu tych ćwiartek. Postanowiłem, że odpowiedź moja będzie arcydziełem chłodnej rozwagi, ale energicznym wyrazem mego przekonania.

Tymczasem byłem zdecydowany na rzecz pewną. Przywoławszy bonę, spytałem jej gdzie klucz od drzwi między moim a dziecinnym pokojem?

— Proszę pana Karolek cisnął go przez mur, do rzeki.

— Czy jest tu ślusarz w miejscu?

— Nie, proszę pana; najbliższy jest w Paterson.

— A czy macie tu obcęgi i młotek?

— Są panie.

— No to przynieś je tutaj i powiedz Filipowi, żeby był gotów natychmiast ze mną do Paterson pojechać.

Gdy Małgorzata przyniosła obcęgi, podważyłem zamek, zabrałem go do kieszeni, i wsiadając do powozu, kazałem jechać do Paterson drogą przez wzgórza. Trzeba wiedzieć, że to jedna z najpiękniejszych dróg Ameryki.

— Paterson! — zawołał Edwardek, — oh, tam jest cukiernia! dalej, do powozu Charl'u.

— Czy tak?—przemyślałem chwytając za bat i zacinając konie. Nic z tego, jeśli w mojej mocy będzie temu przeszkodzić. W takiej przejażdżce, mieć takie towarzystwo!

Konie ruszyły z kopyta, a z przed ganku podniósł się przeraźliwy pisk i rozpaczliwy wrzask. Przestraszony czy się może dzieci śmiertelnie czemś nie zraniły, oglądnąłem się pospiesznie, po to tylko, żeby zobaczyć Edzia i Karolka, jak biegli za powozem wyrzucając w górę piętami i płacząc żałośnie. Było to nazbyt wzruszające; teraz już nie mógłbym ich nie wziąć choćby ospą zarażeni byli. Filip zatrzymał konie z własnego natchnienia; a ja sam pomogłem chłopcom wleść do powozu, ufając, że oko Opatrzności czuwa nademną, i że takie zaparcie się siebie, przynajmniej policzonem mi będzie. (C. d. n.)

## UWAGI NAD WYSTAWĄ PARYZKĄ.

*Sztuki piękne na wystawie paryzkiej.*

*(Ciąg dalszy).*

III. *)

Kto widział tylko tegoroczną wystawę paryzką, a nie był zwiedził wystawy wiedeńskiej, ten o sztuce niemieckiej musi mieć złe wyobrażenie. Niemcy, zaprawdę, wcale się nie spisali. Zanadto mało wystawili obrazów i do tego nie najlepszych. Niewiedzieć np. dlaczego nie skorzystali z prawa przysługującego artystom, wystawienia wszystkich obrazów, jakie sprodukowali od 1867 roku, bez względu na to, że one mogły się już znajdować na wystawie wiedeńskiej. A przecież na tej ostatniej wystawie, sztuka niemiecka tak świetnie wystąpiła i tak zaimponowała światu. Gdyby tedy obecnie w Paryżu Niemcy sprezentowali to wszystko co mieli najlepszego w Wiedniu, natenczas publiczność nietylko miałaby znakomitą sposobność porównania obu szkół, ale nadto wyniosłaby niewątpliwie to przekonanie, które my czerpiemy ze szczegółowego zbadania trzech ostatnich powszechnych wystaw, że obie te szkoły, francuska i niemiecka, rozwijają się równolegle i tak pod względem dodatnich jak i ujemnych swych znamion, równoważą się niemal nawzajem.

Musimy się jednak wytłumaczyć z tego, co rozumiemy przez szkołę niemiecką. Zresztą czytelnik już niezawodnie domyśla się, że w tem

*) Patrz Nr. 69 z r. 1878.

ogólnem pojęciu skupiamy wszystkie pięć szkół specyficznych, istniejących na terytorjum *Vaterlandu*. Nie możemy bowiem w sprawach dotyczących sztuki, uwzględniać politycznych granic; nie możemy tedy szkoły *wiedeńskiej* oddzielać od czterech jej pobratycznych szkół, *monachijskiej, dusseldorfskiej, berlińskiej* i *drezdeńskiej*, dlatego tylko, że pewne polityczne względy, nakazały Wiedniowi oddzielić się od reszty Niemiec i obdarzyć dobrodziejstwami niemieckiej kultury narody, które wcale ich nie pragnęły. Zabrania nam tego przedewszystkiem fakt ten, że te same znamiona, które charakteryzują cztery owe szkoły, charakteryzują także i szkołę wiedeńską. Zabrania nam tego jeszcze i fakt ten, specjalnie odnoszący się do tegorocznej wystawy, że niektórzy malarze wystawili swe obrazy i w dziale austrjackim i w germańskim dziale.

Niemiecka szkoła tak pod względem treści obieranych tematów, jak i pod względem ich wykonania, różni się bardzo od francuskiej, jakkolwiek nie da się zaprzeczyć, że ku końcowi zeszłego stulecia oddziałała potężnie na szkołę francuską i odtąd równolegle z nią biegła po drodze rozwoju, lubo podlegała nieco innym fluktuacjom i nieco dłużej wędrowała po manowcach. Prace na polu estetyki takich Lessingów i Winckelmanów dostarczyły podstawy naukowej całej szkole Dawida, a otworzywszy nieprzerwane zasady piękna w arcydziełach starożytności, przyczyniły się głównie do tego, że szkoła owa, która z tych prac tak niepospolicie skorzystać umiała, stanęła na tak wysokiem stanowisku i tak długo przyświecała Europie. Natomiast Niemcy nie potrafili skorzystać ze swych rodzinnych skarbów. W pierwszych latach bieżącego stulecia, pod wpływem politycznych wypadków i budzącego się patrjotyzmu pangermańskiego, powstała w nich reakcja przeciw starożytności. Zaniechano studjowania klasycyzmu, gdyż w starożytności widziano tylko formę banalną, pozbawioną treści i poezji, zimną i surową, ogołoconą z prawdy, a co najwyżej posiadającą pewną dozę prawdy konwencjonalnej. Jako zaś jedyne źródło inspiracji prawdziwie poetyckiej uważano biblję, poezję średniowieczną, legendy i sagi ludowe, a za wzór do naśladowania postawiono pierwszych mistrzów renessansu włoskiego. Główny prorok tej tak wypaczonej teorji estetycznej, Overbeck, zdołał wkrótce dokoła siebie skupić spory zastęp uczni i wyznawców biblijnej inspiracji, i wspólnie z nimi tworzyć dzieła religijno-mistyczne, zimne, monotonne, gubiące się w allegorjach, do rozwiązania których ogół w swem uczuciu nie miał zgoła klucza, a nawet znawcy potrzebowali komentarza. Niemal jednak równocześnie ze szkołą Overbecka powstała inna, o wiele żywotniejsza i ze zdrowego źródła natchnienie swe czerpiąca. Cornelius za wzór i ideał do naśladowania wziął dla siebie i zalecił swym uczniom wielkich mistrzów XVI wieku, a przedewszystkiem Rafaela i Michała Anioła. Po za nimi nie było dla niego piękna ani w sztuce ani w przyrodzie. A ponieważ najwyższe piękno kryło się w ich arcydziełach, przeto należało natchnienie swe nagiąć do ram nakreślonych przez tych wielkich mistrzów, wszelką oryginalność jako rzecz szkodliwą stłumić i ograniczyć się tylko do ślepego naśladownictwa.

Ta recepta zabiła szkołę Corneliusa, mistycyzm katolicki, podszyty germańskiemi allegorjami zabił szkołę Overbecka, obaj oni pomarli, a kiedy wkrótce za nimi ustąpił z pola Kaulbach, który był jakby syntezą obu powyższych kierunków, to z tak mozolnie wzniesionych przez nich szkół zostały tylko ruiny. Sztuka niemiecka zstąpiła z niedoścignionych wyżyn symbolistyki i allegorji, zeszła na ziemię, pomiędzy żywych ludzi, stała się prostą, zrozumiałą, przystępną, przestała marzyć o zagadnieniach ogólno-ludzkich i o dziejowym posłannictwie narodów, przestała malować filozoficzne i historyczne traktaty, a z całym zapałem wzięła się studjować ludzi żywych, ich uczucia, ich namiętności, formy ich bytu.

Jednakże tu i ówdzie przebija jeszcze u niemieckich malarzy słaby odblask poprzedniego wypaczenia. Myśl tę nasuwa nam najznakomitszy dzisiejszy religijny malarz Germanji, Gebhardt. Wystawił on dwa religijne obrazy, *Ukrzyżowanie* i *Wieczerzę Pańską*, oba, a szczególnie pierwszy, jak gdyby żywcem skopiowane, z któregoś ze starych malarzy niemieckich. O tyle jednak od nich gorsze, że do tej wyraźnej maniery archaicznej, dołącza się na płótnach Gebhardta nieskończenie brudny realizm. Temat *rozpięcia na krzyżu*, mojem, może błędnem zdaniem, jest wcale nie estetycznym tematem, i gdyby nie dogmat religijny, który przyzwyczajając nas od dzieciństwa do tego tematu, zatarł w nas estetyczną do niego odrazę i to, na co bez wstrętu nie moglibyśmy patrzeć, uczynił dla nas znośnem i obojętnem, gdyby tedy nie ten dogmat, to przypuszczać można, że żaden mistrz rzeźby lub malarstwa nie byłby nigdy pomyślał nawet o uplastycznieniu człowieka w tak wstrętnej i torturowej pozie. Rzeźba starożytna, grecka i rzymska, wyczerpała wszystkie tematy, przedstawiła ciało ludzkie we wszystkich estetycznych pozach; więc gdy zabrakło motywów, powtarzała się raczej, ale o tak wstrętnej pozie, jak rozpięcie na krzyżu, nie miała nawet pojęcia. Więc już jeżeli, hołdując dogmatowi, zadajemy cios estetyce, należy nam przynajmniej cios ten zatuszować skoncentrowaniem poetycznego natchnienia w obliczu Chrystusa, nadaniem wyrazowi jego twarzy jakiejś niebiańskiej słodyczy, lub zgoła czegoś, co by uwagę widza odrywało od nieestetycznej pozy ciała i narzędzia tortury. Tymczasem Gebhardt właśnie wręcz przeciwnie rozumował. Zdaniem jego w rozpięciu na krzyżu najpiękniejszą rzeczą jest właśnie tortura; im ona jest lepiej uwydatniona, im silniej zacechowana jest męczarnia, tem większe piękno, bo większa prawda. Powykrzywiał tedy Chrystusa i obu zbójców, twarzom wszystkich trzech nadał wyraz samej tylko ziemskiej, tylko cielesnej męczarni, rany u rąk i nóg rozszerzył do niesłychanych rozmiarów, rozmaite, jedne straszniejsze od drugich powprowadzał skurcze mięśniowe, wszystko to powlókł brudnym i ponurym kolorytem, a realizmu swego nie okupił nawet poprawnym rysunkiem. O! Gebhardt o wiele niżej stoi od Bonnat'a, a z szlachetnością uczuć religijnych Bouguereau mierzyć się nawet nie może.

Lepiej w porównaniu do Francuzów prezentują się historyczni malarze Niemiec. Jednakże na tegorocznej wystawie, właściwych historycznych obrazów Niemcy nie wystawili. Te zaś, które wystawili, a które do tego tytułu roszczą dla siebie pretensją, nie są historycznemi, bo historja służy w nich tylko za pretekst, cel zaś ich jest inny, a nawet i temat z innej sfery myślenia jest poczerpnięty. Gabrjel Max, znakomitość monachijska i autor słynnego obrazu *śmierć św. Łucji*, szukający najczęściej tematów z pierwszych wielkich walk chrześcijanizmu lub z dziejów życia Chrystusa, tworzący przeto utwory na poły historyczne a na poły religijne, nadesłał dość skromnie opracowane płótno, prezentujące raczej konsultacją lekarską niż uplastycznienie mającego się natychmiast odbyć cudu. Tematem obrazu jest przywrócenie do życia zmarłej córki Jaira. Chrystus podchodzi, bierze ją za rękę i ma do życia przywołać, wygląda jednak, jak gdyby był lekarzem i miał puls jej badać. Drugi zaś niemiecki obraz, pozujący na historyczność, jest na historycznej podkładce rodzajowe płótno Makarta, o którem już wspominaliśmy.

Przypuszczać się godzi, że czytelnicy nasi znają ten obraz, choćby z licznych drzeworytów i fotografij, które od roku widzieć można było nawet w oknach naszych sklepów. Wiedzą przeto o co rzecz idzie. Makart odczytując korespondencję Alberta Dürera, przeczytał między innemi list pisany do Melanchtona, w którym Dürer opowiada jakie przyjęcie Karolowi V. zgotowali mieszkańcy sławetnego grodu Antwerpji. Zwyczajem panującym pospolicie w XVI wieku we Flandrji i w nadreńskich prowincjach Niemiec, wybrali oni najpiękniejsze dziewice grodu, a przybrawszy je w szaty lekkie i przeźroczyste, uwydatniające wszystkie wdzięki nadobnych kształtów, kazali im przodować orszakowi cesarza, rzucać mu pod stopy kwiaty i wieńce, lub nieść dary, złożone w darze monarsze.

Ustęp ten z listu Dürera wziął Makart za temat do swego obrazu, temat zaiste jak najlepiej odpowiadający jego talentowi, lubującemu się w blasku i w dekoracji. Zmienił go wszakże, gwoli chyba wywołania skandalu, a przez skandal rozgłosu. Zdarł zpięknych Antwerpijanek owe lekkie i przezroczyste szaty i przedstawił je nago. Owoż nagość zupełna, którą temat obrazu lub rzeźby usprawiedliwia, była zawsze, jest i zawsze będzie najwznioślejszą, a zarazem najczystszą najbardziej dziewiczo-niewinną formą sztuki. Ale kobiety nagie wprowadzone w grono kobiet i mężczyzn ubranych, wśród otoczenia codziennego, na tle rzeczywistego a nie wyidealizowanego życia, nietylko nie są emanacją najszczytniejszych dążeń sztuki, ale po prostu rażą swą skandalicznością, uwłaczają etycznym pierwiastkom natury ludzkiej a drażnią jej zmysłowe chuci. To też i rzeczywiście, chuci te obraz Makarta podniecił i przez nie do rozgłosu doszedł. Czy jednak protekcja podobnych popędów człowieka zdoła w nieśmiertelnej świątyni sztuki wypisać imię Makarta, w to najkompletniej przez cześć dla sztuki wątpimy. (C. d. n.)

## KRONIKA NAUKOWA.

(Fonomotor i megafon Edisona).

**Nauka o dźwięku stała się w przeciągu paru lat ostatnich przedmiotem ogólnych badań, we wszystkich pracowniach fizycznych. Kilka genialnych przyrządów, jak telefon i fonograf, wywołało ruch na tem polu i pobudziło do poszukiwań, które, jak wszystkim wiadomo, okazały się niezmiernie obfitemi w rezultaty.**

**Jednym z takich ważnych wyników, jest przekonanie się o wielkiej sile drgań głosowych. Przekonano się, że drgania blaszki w telefonie mogą wywołać prądy elektryczne o sile wystarczającej do przeniesienia sygnałów na odległość kilkudziesięcio-kilometrową, że ostrze w fonografie może robić podczas drgań wgłębienia w dość grubym arkuszu papieru cynowego, a nawet i w cienkiej blaszce żelaznej.**

**Żeby doświadczalnie, a jeszcze dobitniej**

wykazać pracę mechaniczną fal głosowych, zbudował niestrudzony Edison przyrząd, który nazwał *fonomotorem*, a którego urządzenie jest niezmiernie proste. Ta prostota jest charakterystyczną dla wszystkich przyrządów pochodzących z pracowni tego genialnego wynalazcy.

Podobnie jak w fonografie, mała blaszka żelazna, umocowana na postumencie, stanowi istotną część fonomotoru. W środku blaszki przytwierdzonem jest ostrze, które drga, gdy się do blaszki mówi lub spiewa. Drgania te odbywają się w tył i naprzód, tak że możemy te miniaturowe ruchy, porównać z ruchami tłoka w cylindrze machiny parowej.

Te drobne ruchy, zużytkowywa Edison do obracania małej osi, umieszczonej tuż przed ostrzem, które drgając uderza o małe zazębienia na osi tak, że podczas każdego ruchu naprzód, obraca tę oś o mały kąt naprzód, a ponieważ te drgania szybko po sobie następują, więc oś wprawia się w bardzo szybki obrót. Na jednym końcu tej osi przymocowanem jest małe koło rozpędowe, nadające regularność tym obrotom.

W opisie tego przyrządu, twierdzi Edison, iż zdołał obrót tej osi zużytkować do wiercenia dziury w desce. Nie wiemy o ile ten fakt jest prawdziwym, bo Edisonowi nie zawsze wierzyć można, jednak już sam obrót osi wystarcza do uderzającego wykazania siły fal głosowych. Wiercenie zaś dziur w deskach za pomocą gadania, nie należy do rzeczy tak nowych i niespodzianych. Znamy osoby, które bliskie bardzo od wykonywania tej samej czynności, bez żadnych przyrządów mechanicznych.

Innym przyrządem Edisona, wkraczającym w tę samą dziedzinę, jest *megafon*, który został wynaleziony przed kilku miesiącami, który jednak bardzo niedawno dostał się do Europy. O tym przyrządzie zaraz po jego wynalezieniu, krążyły po Europie najrozmaitsze bajeczki. Powiadano, że jest przyrząd usuwający zupełnie głuchotę. Sam byłem świadkiem, u reprezentanta Edisona w Paryżu, pana Roosvelt, jak, zaraz po puszczeniu kaczki dziennikarskiej we Francji, o rzekomych cudownych własnościach megafonu, przyszło do biura kilkaset listów od ludzi głuchych z zapytywaniem o szczegóły wynalazku. Oprócz tego, opowiadał mi p. Roosvelt, że przez kilka dni nie mieli spokoju osobiście, gdyż przychodzili ciągle głusi do biura i trzeba było z każdym z nich, natężając o ile można głos rozmawiać, lub też porozumiewać się za pomocą pisma. U nas wiadomości tego rodzaju daleko później się rozszerzają i dla tego też, dopiero bardzo niedawno, otrzymałem list od pewnego obywatela z Litwy, cierpiącego na głuchotę, który mię prosi o przysłanie bliższych informacyj. Otóż, jak się później okazało, nadzieje wszystkich tych panów zostały srodze zawiedzione. Megafon bowiem po pierwsze jest przyrządem, mającym przeszło dziewięć stóp długości, więc niemożliwym do użycia, a powtóre, nie jest wcale przeznaczonym dla usuwania głuchoty, tylko do porozumiewania się na wielką odległość bez pomocy drutu, jak to ma miejsce w telefonie.

Wiadomo, że marynarze używają do porozumiewania się na znaczniejszą odległość, tak zwanej *tuby*, zrobionej z blachy, która nadaje dźwiękom większą siłę wysyłając je w jednym kierunku. Taka tuba zwykła jest główną częścią megafonu, który niczem innem nazwać nie można, jak tylko ulepszoną tubą. Różnica jest ta, że, gdy w zwykłej tubie słucha się z daleka przychodzących dźwięków, wprost uchem, to w megafonie jest osobny przyrząd do słuchania. Są to dwie wielkie rury tekturowe, kształtu stożkowego, mające trzy metry długości, a około jednego metra średnicy u szerokiego końca. Przeciwległe końce tych rur zwężają się w rurki kauczukowe, których końce wkładają się do otworów usznych. Otóż gdy ze znacznej odległości nadbiega głos wysłany za pomocą tuby, to jest on już znacznie osłabiony, i nieraz uchem trudno go dosłyszeć, bo tylko mała część fal głosowych wpada do ucha przez małe uszne otwory. Natomiast gdy zaopatrzymy uszy nasze w megafon, wtedy koncentrują się wewnątrz szeroko otwartych rur fale padające do ich wnętrza, i w takim stanie upadają na błonę bębenkową naszego ucha.

Doświadczenia, robione z tym przyrządem, wykazały, iż podczas ciszy, porozumiewać się można z odległości dwóch i pół do trzech kilometrów. Jednakże przyrząd ten ma posiadać tę wielką niewygodę, iż potęguje wszelkie szmery z okolicy i przynosi je do ucha, przeszkadzając wyraźnej rozmowie. *B. Abakanowicz.*

---

## TYDZIEŃ LWOWSKI.

*Lwów dnia 9. stycznia.*

Mówiąc słowami Imci pana Paska rozpoczęliśmy szczęśliwie i wesoło rok nowy, kilkanaście tylko osób i jeden stróż z pewnego biura potłukli sobie krzyże, upadając wśród dnia na ślizgawicy. Szanowny Magistrat pod tym względem oddał nas opiece boskiej, i opieka ta jak widzimy nie zawiodła. Przewracali się wprawdzie ludziska, jak te snopki na polu wiatrem popychane, ale bez szwanku — gimnastyka rąk i nóg wykładała się bezpłatnie na ulicach i z pewnością pójdzie Lwowianom na zdrowie... Zresztą na co się to zdało nawoływanie nasze o lepszy porządek w mieście, a przynajmniej uprzątanie trotuarów ze śniegu i lodu, kiedy to wszystko było głosem wołającego na puszczy, dopóki się ktoś lepszy od nas nie wdał w tę sprawę, bo przez wczorajszy dzień mieliśmy piaskiem posypane chodniki, a dziś kobieciny miejskie uwijają się żwawiej, niż zwykle z miotłami.

W sam dzień Trzech Króli odbyła się sławna reduta techników, i jak fama niesie, udała się kompletnie z opuszczeniem niektórych punktów programowych. Jednak wybór króla i królowej przyszedł do skutku i węzeł gordyjski wbrew tradycji Aleksandra Macedońskiego nie mieczem, ale rozumem rozwiązany został... W prywatnych domach próbowano już tańców tak sobie od niechcenia jednak do rana, a w obec zapowiedzianych balów, odbywają się próby mierzenia sukien z powłokami na cztery metry i takiem nóg spętaniem, aby romantyczna młodzież nie miała wiele zachodu z gonitwą. Powodem zaś do takiej ostrożności była dość głośna w tym czasie ucieczka pewnej panienki lepszego rodu, z pewnym paniczem mniejszego rodu, podobno aż do Neapolu, jeżeli wierzyć można telegramom ztamtąd otrzymanym, bo czasami i telegramy przyjacielskie mogą w błąd wprowadzać. Otóż pętanie nóg podług ostatniej mody, pod tym względem odejmie pannom możność robienia tak stanowczych kroków i zmusi do stąpania drobniutko najdalej do ołtarza.

Już to plotek rozmaitych w ubiegłym tygodniu dosyć krążyło po Lwowie, widocznie karnawał jeszcze nie zaabsorbował umysłów. Rozpowiadają sobie w wielkich i małych kołach, że pewien członek pewnej znakomitej rodziny polskiej, sięgnął po rękę hrabianki Strogonow, stojącej, jak wiadomo dość blisko przy tronie petersburgskim, i że dla tego zaszczytu, owa młoda latorośl starodawnego rodu, raczyła przyjąć prawosławie, to jest zmoskalić się otwarcie. Nie jest to nic niepodobnego, jednak spodziewamy się, że organy prasy adorujące religijne uczucia i patrjotyzm historycznych imion naszego kraju, coś nam o tym fakcie pewniejszego powiedzą, a kto wie, czy w zapale swej czołobitności patrjotycznej nie zechcą takiego czynu nazwać *szlachetnem odstępstwem*... dla dobra sprawy polskiej.

Tymczasem Dyrekcja Teatrów nie próżnuje: nowości sypią się jak z rękawa, a choć konkurs imienia hr. Fredry jeszcze nie daje znaku życia, to mamy zapowiedzianą komedję „Dama treflowa“ p. Kazimierza Zalewskiego, której wyjątek drukowany w „Kurjerze warszawskim“ ogromnie zaciekawił publiczność. Dalej p. Józef Bliziński kończy coś nowego dla sceny tutejszej, a wreszcie w teatrze dla dorosłych, czyli tak zwanym Rozmaitości pokaże się osławiona Niniche i kąpiele morskie w kostiumach bardzo przyzwoitych i zamiast Polaka—Moskal bohater komedji, na którym będziemy się mogli my wszyscy dorośli zemścić za wszystkie krzywdy wiekowe... Uprzedzamy tylko czytelniczki nasze, że z całą swobodą mogą iść na to przedstawienie, które z powodu drażliwości samej sprawy odbędzie się z zachowaniem form wszelkiej przyzwoitości — przy drzwiach zamkniętych.

Maleńki spór wkradł się do dwóch dzienników tutejszych przy rekomendacji kandydatów z tutejszej Rady miejskiej do c. k. krajowej Rady szkolnej. Sekcja Vta Magistratu w miejsce dotychczasowego delegata pana Dra Euzebiusza Czerkawskiego ustępującego z Rady szkolnej, zaproponowała p. radnego Gerstmana, profesora w niemieckiem gimnazjum, i wybór ten popiera Dziennik polski. Przeciwnie, Gazeta narodowa jest za dalszem urzędowaniem pana Czerkawskiego, który deklaruje złożyć swój mandat jako poseł do Rady państwa i na przyszłość go nie przyjmować, poświęciwszy się wyłącznie miejscowym obowiązkom we Lwowie... Burza ta, jak się zdaje skończy się na wyborze pana Czerkawskiego, któremu w żadnym razie nie można odmówić ani cywilnej odwagi w obronie praw szkolnych w Radzie państwa, ani znajomości przedmiotu, ani powagi i zdolności odpowiednich dla tego rodzaju urzędu...

Mamy to szczęście we Lwowie, że w sprawach nas w pierwszem miejscu obchodzących, dowiadujemy się zawsze z dzienników gdzieindziej wydawanych. I tak Czas zawiadamia, że w marcu roku bieżącego może być zwołany sejm królestwa Galicji i Lodomerji i że w tym względzie uwiadomiono Wydział Krajowy, aby przygotował swe wnioski z którymi ma wystąpić. Dalej Dziennik poznański przynosi nam wieść, że Wydział krajowy wkrótce rozpisać ma konkurs na roboty rzeźbiarskie dla budującego się gmachu sejmowego. Chodzi tu o wyroby artystycznej wartości, które wewnątrz i zewnątrz ozdobić mają nowy przybytek parlamentarny Lwowa. Mianowicie sala sejmowa otrzymać ma liczne biusty marmurowe królów polskich, — schody prowadzące do niej figury allegoryczne, a fronton fasady zewnętrznej grupę trzech figur przedstawiającą ustawodawstwo biorące w opiekę Polskę i Ruś.

Poniżej mają być umieszczone posągi: religii, patrjotyzmu, wolności, jedności, a u dołu od wejścia, dwie wielkie statui wyobrażające oświatę i pracę. Przy tak pięknych i z taką znajomością rzeczy wybranych statuach do ozdoby gmachu sejmowego, spodziewamy się że komitet budowy, przy ocenianiu nadsyłanych modeli odda pierwszeństwo polskim artystom, i nie dopuści konkurencji obcych. Jedną tylko chociaż może smutnie humorystyczną, zrobilibyśmy uwagę, żeby ostateczny termin tego konkursu mógł być tak obliczonym, aby przyjmujący w nim udział artyści nie potrzebowali wzorów do swych modeli wyszukiwać gdzieś po za granicami Galicji. Gdyby to bowiem trafiło się w tej chwili, to kogoby tu naprzykład wybrać na wzór patrjotyzmu albo wolności we Lwowie, kiedy tu mieszkają jak Czas powiada same tylko Warchoły. A już co się tyczy jedności, to wasz kronikarz jakkolwiek pisujący za zapłatę od wiersza, gotów byłby oprócz konkursowego premium komitetu, dać od siebie konia z rzędem takiemu artyście, któryby chociaż z gliny mógł ulepić galicyjską jedność... Zje on licha i dobrze się napoci, nim sobie taki ideał wynajdzie! Dlatego jestem zdania, że komitet położy za warunek konkursu sine qua non, że wszyscy współubiegający się, notabene każdy z osobna, musi się udać na puszczę przynajmniej na dni czterdzieści nim się do dzieła zabierze, i złoży przysięgę, że przez cały ten czas nie weźmie do rąk żadnego dziennika i żadnej broszury albo świstka, drukowanych gdziebądź w tym czasie na obszarze ziem polskich, inaczej bowiem spłodzi karykaturę tylko jedności polskiej, z którą i gmachowi, i zasiadającemu w nim sejmowi byłoby bardzo nie do twarzy.

---

## Wiadomości z kraju i ze świata.

### Literatura, sztuka i nauka.

*** K. W. Wójcicki napisał obecnie „Historję literatury polskiej“ (dla młodzieży) i wyda ją nakładem księgarni A. Kowalskiego

*** Ks. Adam Stanisław Krasiński, b. pijar, biskup djecezji wileńskiej, znany dobrze w piśmiennictwie naszem z prac na niwie poezji, gramatyki i prawa, wypowiedział w jednym ze swych listów następujące o „Literaturze“ Sowińskiego zdanie:

„Co się tyczy „Rysu dziejów literatury“ p. Sowińskiego, podług mnie, jest to dzieło w swoim rodzaju u nas najlepsze

Stoi na wysokości nauki i wobec dzieł europejskich zajmuje niepoślednie miejsce.

Autor umiał korzystać z prac poprzedników, ale i swojego nie mało włożył.

Nie powiem, żeby jakiegoś szczegółu sam autor nie był gotów zmienić i żeby tam nic już do zarzucenia nie było: ale czyż piękna twarz dla tego przestanie być piękną, że na niej mały pryszczyk się znajdzie?

*Ubi plura nitent, non ego parvis offendar maculis.*“

*** W Wilnie wyszła z pod prasy powieść nowowystępującej aktorki pod ogólnym tytułem *Na polu pracy*, a szczegółowym *O własnych siłach*, nacechowana dążnością postępową.

*** Z Żytomierza piszą do *Kłosów*, że w mieście tem mieszka domniemany potomek genialnego astronoma' *Walenty Kopernik*, majster szewski, wyprowadzający ród swój z Warmji i dowodzący pokrewieństwa swego z twórcą nowego systemu słonecznego. W mieszkaniu p. Walentego wisi piękny portret wielkiego Mikołaja Kopernika.

*** W Kaliszu na dochód Towarzystwa osad rolnych ma się odbyć pięć następujących odczytów: Dr. Brokman: *O przyczynach chorób*; Edmund Idzikowski *Praca i pierwsze pojęcia ekonomiczne*; Alfons Parczewski *O Łużyczanach*; Posowski *Z dziedziny geografji*; Gabryel Kompnez *O dowodzie w postępowaniu karnem.*

*** W Odessie zorganizował się teatr ruski w sali klubu rzemieślniczego pod dyrekcyą p. Lubicza-Derkacza.

*** Ks. Rożański, płoczczanin, zajmujący obecnie posadę dyrektora królewskiej bibljoteki w *el Escorial* (w Hiszpanji), słynnej z posiadania cennych zabytków bibliograficznych, wydał obecnie według doniesienia *Korespond. Płockiego*, w przekładzie z języka hiszpańskiego na polski *Listy Piotra Ronquillo posła hiszpańskiego*, pisane z Polski w roku 1674 do królowej regentki Marji Anny i do swego przyjaciela margrabiego de los Barbabez. Listów jest 25; wstęp i komentarze są pióra dra Liske, profesora wszechnicy lwowskiej.

*** Akademja francuska właśnie 22 głosami na 27 wybrała na miejsce zmarłego biskupa Dupanloupa prezesa senatu księcia d'Audiffret-Pasquier; pięć kartek było niezapisanych.

*** Z literatury czeskiej. Komedja Boska Dantego, tłumaczona już na różne języki, doczekała się przekładu i na czeski. Rozpoczął go Jaromir Vrchlycki i dokonał przekładu części 1-ej „Piekła,“ zatem trzeciej części całego dzieła.

Nowe pismo belletrystyczne pod nazwą: *Kvety* (Kwiaty) wychodzić będzie wkrótce w zeszytach miesięcznych pod redakcją Sviatopluka Czecha i D-ra S. Hellera. Wydawcy będą zamieszczać illustracje, chociaż takowe grać mają tylko rolę podrzędną.

Rudolf Pokorny, tłumacz poezyj naszego Bohdana Zaleskiego, napisał i wydał trzeci zbiór poezji swych „Pod czeskiem niebem.“ Jest on poetą czysto narodowym i niestara się nawet wydobyć z zakresu ojczystej niwy, do której przylgnął sercem i duszą, a tej złotej nici co go wiąże z ziemią rodzinną, zerwać nie pragnie. Podsłuchał on pieśni ludu, zbadał jego bajki i podania i na takiej podstawie wyśpiewał: „Pod czeskiem niebem.“ Pogląd jego jasny i zdrowy, pełen życia i siły, prawdziwie ludowy, pojęcia też proste jak u ludu, nie ma w nich nic nadprzyrodzonego. Zbiór tych pieśni ofiarował poeta Hajkowi.

Uczony chorwacki i pierwszy rektor uniwersytetu w Zagrzebiu Matija Mesicz zmarł dnia 6 grudnia w 52-im roku życia.

### Odkrycia i wynalazki.

*** Edison pracuje obecnie nad nowym przyrządem, który ma na celu zastosowanie elektryczności do poruszania maszyn. Aparatowi rzeczonemu dostała się nazwa Telemachon i gazety już o nim piszą, jakkolwiek pomysł, z powodu licznych wad konstrukcji przyrządu, nie został dotąd wprowadzonym w życie.

Wynalazek rzeczony obiecuje liczne korzyści, dla tego świat przemysłowy bardzo się nim zajął. Jednocześnie dzienniki napomykają, że Edison swoje odkrycia zawdzięcza pewnemu Amerykaninowi, nazwiskiem Wallace, który mu pierwszy myśl do nich podał, a sam takowej dla braku środków w wykonanie wprowadzić nie był w stanie.

*** Dowiadujemy się, że dr. J. Ochorowicz przygotowując aparaty do zapowiedzianych odczytów zrobił ciekawe spostrzeżenie, dowodzące, że stos galwaniczny używany zawsze przy doświadczeniach z mikrofonem może sam przy pewnych warunkach występować jako mikrofon.

Opierając się na tej zasadzie pan O. wykończa przyrząd, który nazwał *stosem mikrofonicznym* i który ma być okazany podczas wykładów w Warszawie.

### Wiadomości ekonomiczne.

*** Nowe pokłady galmanu i rudy ołowianej odkryto we wsi Sosnowicach powiecie Bendzińskim, w pierwszych dniach b. m. — w końcu zaś listopada r. b. odkryto podobne pokłady w tymże powiecie we wsi Dąbrowie.

---

## ROZMAITOŚCI.

*** Emir Afganistanu jest przedmiotem licznych opowieści. Gazety angielskie codzień zdejmują z niego sylwetki. Oto szczegóły z jego życia prywatnego.

Szyr Ali ma wspaniały pałac w Kabulu z pozoru podobniejszy do murowanego zamku, aniżeli do rezydencji książęcej.

Niezależnie od pomienionego siedliska, emir posiada jeszcze dwa inne pałace, w których mieszkają córki jego i żony. Tamże przebywają niewolnice ojca jego na łaskawym chlebie.

Matka emira w sędziwym wieku jeszcze żyje. Ali ma jedynego syna Jakóba i 18 córek, z których 10 wydał za swoich wasalów.

Podług starożytnego zwyczaju, każda z córek dostaje w posagu miasto, z którego pobiera dożywotnie dochody, powracające po jej zgonie do skarbu państwa.

W domu emira niebardzo musi być spokojnie, ma on w tej chwili około 360 żon! Męczennik!

W tym ciekawym kraju handel niewolnikami stanowi monopol rządu, który za opłatą rozdaje przywileje zajmującym się tym procederem. Uprzywilejowany wypłaca się w naturze, oddając w zamian rządowi corocznie pewną ilość niewolnic, których liczba oznaczoną jest z góry.

*** Afisz Mozarta. *Hamburger Nachrichten* przedrukowały afisz z roku 1764, którym ojciec Mozarta zapowiada koncert swych dzieci w Frankfurcie nad Menem; oryginalne to ogłoszenie brzmi tak w dosłownem o ile możności tłumaczeniu z niemieckiego:

„Moja córka, lat dwanaście wieku mająca i mój syn siedmioletni wykonają utwory największych mistrzów na klawicymbale z ogonem i bez ogona.

„Mój chłopak odegra też koncert na skrzypcach.

„Syn mój nakryje klawisze klawicymbału suknem i grać będzie, jak gdyby takowe nie były zakrytemi.

„Z daleka i zbliska rozpozna on każdy ton i każdy akord wzięty na klawicymbale, albo wydobyty z dzwonka lub jakiegokolwiek instrumentu muzycznego.

„Na zakończenie fantazjować będzie, jak długo kto zechce i to do wyboru: na organach albo klawicymbale, w najtrudniejszych tonacjach.“

W ten sposób czuły ojczulek Mozarta reklamował swoje „cudowne dzieci“ i siedmioletniego artystę, wyfryzowanego i wystrojonego we fraczek i pludry, z małą szpadą przy boku, wyprowadzał ku uciesze ówczesnych melomanów na koncertową estradę.

*** Wyprawa bankierówny. Bodajto być panną na wydaniu, a do tego córką Rothschilda.

Donosiliśmy już swego czasu, że baronówna Małgorzata wychodzi za mąż za księcia Guiche-Grammont; obecnie skwapliwie zajmują się tu wyprawą panny młodej, wystawioną na widok publiczny w Paryżu, w bogatych salonach pani Salomei Rothszildowej, przy ulicy św. Honorjusza.

Ktoby przypuścił, że względy cłowe będą odgrywały ważną rolę przy ślubie przyszłej księżny Guiche; dla nich to ślub odbędzie się w Paryżu, aby nie opłacać cła od bogatej wyprawy, koronek, materyj i klejnotów!

Panna młoda pójdzie do ołtarza w białej sukni atłasowej, pokrytej koronkami, z ogonem na 4 metry długim; po lewej stronie błyszczeć będą herby rodzin Grammont i Rothschild!

Herby owe stanowią *curiosum* swego rodzaju, nie pod względem heraldycznym, jakby utrzymywali złośliwi, lecz pod względem haftu.

Dwie najlepsze hafciarki Paryża pracowały nad niemi przez półtora miesiąca!

Toalety spacerowe, wizytowe, negliże nie dadzą się opisać niewprawnemu pióru zwykłego sprawozdawcy; potrzebaby też książkę osobną wydać chcąc dokładnie przedstawić bogactwo i gustowne ubranie owych czterdziestu (bagatela!) kapeluszy dostarczonych przez panią Virot, rekawiczek Jouvi'na na 4, 6 i 10 guzików, futer sobolowych i tumakowych, biżuteryj i klejnotów, z których np. jeden naszyjnik tylko oceniono na pół miljona franków.

*** List do Boga! Ubogi urzędnik zmarł niedawno w pewem miasteczku na północy, pozostawiając wdowę z trojgiem dzieci w wielkiej potrzebie.

Niedostatek wzmagał się z każdym dniem, jakkolwiek właścicielka domu pozwoliła im bezpłatnie pozostać jeszcze cały miesiąc w mieszkaniu.

Wtedy to siedmioletni syn ubogiej wdowy napisał następujący list:

„Dobry Boże! siostra moja jest głodna; poślij mi trzy kopiejki, abym mógł dla niej kupić chleba“.

Z kartką tą udał się on do najbliższej skrzynki

pocztowej w zamiarze wrzucenia jej tamże, lecz mimo usilnych starań, nie mógł tak wysoko dosięgnąć.

Duchowny tej parafji, przechodzący w tejże chwili, zbliżył się do chłopca, list przeczytał wielce wzruszony i przyszedł na razie z pomocą biednej rodzinie, przekonawszy się o prawdziwej a gwałtownej potrzebie.

Dzielny ten człowiek nie poprzestał na tem.

W następną niedzielę wziął on ze sobą dwoje dzieci do kościoła, trzecie nie ma jeszcze roku, przemówił do serca swych parafjan, podnosząc potrzebę wzajemnego przychodzenia sobie z pomocą i wskazując na dzieci, opowiedział powyżej przytoczone zdarzenie.

Potem sam ująwszy w rękę tace, zwrócił się do słuchaczy o składkę, która w krótkim czasie przyniosła tysiące.

W ten sposób prośba dziecięcia spełnioną została nad jego spodziewanie.

*** Sprawa o kradzież włosów kochanki.

Pan X. Jest młodzieńcem bardzo romantycznym, serce jego zapłonęło gorącem uczuciem dla nieznajomej sąsiadki!

Sąsiadka ta mieszka na parterze.

Młodzieniec spoglądał na nią z wyżyn przeciwległego poddasza.

Panna nie domyślała się wcale, że tak wysoko biło dla niej serce niekłamanem uczuciem; na ulicy nie raczyła nawet spojrzeć na zakochanego młodzieńca.

Ale pan X. był młodzieńcem ośmnastoletnim, a w tym wieku miłość bywa platoniczną.

Dla młodziana dosyć było ujrzeć w oknie postać ukochaną, zachwycać się jej widokiem i marzyć... marzyć tak długo i rozkosznie...

Jednej tylko rzeczy żywo pragnął jeszcze nasz bohater: połowę życia dałby za wiązankę włosów ukochanej...

Widział raz, jak figlarne dziewczę nożycami podcięło sobie długie sploty włosów, serce mu zadrżało... Było to o zmierzchu, jeszcze w miesiącu wrześniu. Okno. w którem siedziała dziewczyna, było otwarte.

Młodzieniec z gorączkowym pośpiechem zszedł na dół, schował się w kąciku i z bijącem sercem oczekiwał, aż bogdanka jego oddali się od okna.

Doczekawszy się stosownej chwili, podszedł ukradkiem i schwycił jakieś włosy...

Wtem schwycił go ktoś za kołnierz, wołając:

— A mam cię złodzieju!

Młodzieniec ujrzał z przestrachem, że trzyma w ręku długi przyprawiany warkocz.

Przytrzymany przez jednego z lokatorów, biedny X. oddany został w ręce policji a następnie oskarżony o kradzież warkocza, wartości 8 rubli.

Sprawę jego w tych dniach rozpatrywał jeden z sędziów pokoju miasta Warszawy.

Szczęściem, zeznanie przyjaciela, któremu X. często zwierzał się ze swej miłości do sąsiadki, popierające szczere i serdeczne wyjaśnienie okoliczności sprawy przez samego podsądnego, uratowało niewinnego młodzieńca.

Pan X. został uniewinniony, ale bardzo łatwo za swe romantyczne usposobienie mógł się dostać do zacisza więziennego.

Tam byłoby mu mniej słodko marzyć.

*** Czego też ci francuzi nie wymyślą!

Bo oto znów zawiązuje się w Paryżu spółka mająca na celu wytwarzanie... zimna.

Miano jej „societé du froid.“

Spółka owa opierając się na najnowszych wynalazkach, zamierza w lecie ochładzać temperaturę w mieszkaniach prywatnych jak również i publicznych miejscach.

W tym celu używać ona będzie aparatu Giffarda znanego z ostatniej wystawy paryskiej.

Przyrząd ten z niezmierną łatwością i niewielkim kosztem produkuje chłód.

Motorem jest powietrze i woda.

A więc niedługo już zapewne czytać będziem następujące szyldy:

„Fabryka wszelkich gatunków zimna, oraz skład hurtowy silnych mrozów; biorący znaczne partje dostają darmo... śnieg“.

Czego też ci francuzi nie wymyślą!

*** W bieżącym roku zmarło czterech miljonerów w Kalifornji: O'Brien, Hopkins, Reese i Colton.

Pierwszych trzech pozostawiło po ośm miljonów każdy majątku: Colton najmniej, bo trzy miliony tylko.

Wszyscy zawdzięczali swe olbrzymie majątki jedynie własnej pracy.

O'Brien był początkowo restauratorem i ogromny swój majątek winien osobliwemu przypadkowi.

Poznał się on z ludźmi, którzy początkowo przypuścili go do spółki, następnie przejął ich interesa na własną rękę.

Hopkins zawdzięczał swoją fortunę tylko nadludzkim wysileniom i pracy nieustannej.

Reese był skąpcem.

W młodości był on stróżem domu.

Następnie pożyczał na zastawy i ten proceder doprowadził go do miljonowego majątku.

Colton prowadził spekulacje spokojnie, był nadzwyczaj przezorny, zajmował się polityką i cieszył się dość znacznym wpływem.

Tylko Colton pozostawił dwie córki — inni pomorli bezdzietnie, a ich miljony przeszły w ręce niezasłużonych a szczęśliwych sukcesów.

*** Olbrzymi proces wytoczony został właścicielowi słynnych browarów Dreherowi.

Wielki (!) piwowar winien jest zatajenia rzeczywistej cyfry produkcji swych browarów, a przez to zmniejszenia dochodów skarbu.

Postępowanie śledcze, trwające dwa lata, zostało wreszcie ukończone.

Materjał śledczy składa się z tysiąca blizko arkuszy protokołu i 40,000 sztuk rozlicznych aktów.

Sprawa przed kratki wejdzie niebawem.

*** Znów katastrofa na morzu.

Było to 19 b. m. na mzrzu Marmara.

W pobliżu Gallipoli angielski parowiec „Rinaldo“ starł się z francuskim okrętem „Byzantin“ należącym do marsylijskiej kompanji Freycineta.

Ostatni stał się ofiarą starcia.

Utonął on, grążąc jednocześnie w fale 150 ludzi.

Zdołano wyratować tylko 14 ludzi.

Z Konstantynopola udaje się na miejsce wypadku specjalna komisja.

---

# DWAJ KOMEDJANCI.

## Anegdota historyczna.

W lipcu 1830 roku, kareta zaprzężona w cztery konie, zatrzymała się przed bramą Hotelu Francuskiego, najlepszego w całym Orleanie. Wysiadł z niej podróżny w wieku lat około sześćdziesięciu, ale żwawy jeszcze i rześki, a służba hotelowa, w pełnym komplecie, przyjęła go z oznakami najgłębszego uszanowania. Prawie wniesiono go na rękach, wśród ogólnego zapału i nadskakiwań, do wspaniałego apartamentu, z góry już dlań przygotowanego: w przedpokoju zajęli miejsce, gotowi na rozkazy, najzręczniejsi z miejscowej służby; a sam gospodarz co najmniej dwadzieścia razy pokłonił się do kolan dostojnemu gościowi, tytułując go wysokością, ekscelencją i księciem; księciem tym był — aktor Potier!

W kilka chwil później do tegoż samego hotelu zajechała druga kareta pocztowa; przybyły nią mężczyzna w podeszłym wieku, odznaczającej się powierzchowności, z obliczem zdradzającym wysoką inteligencję, zajął wskazane mu, z widocznem lekceważeniem, dwa nędzne pokoiki, do których oburzony kamerdyner jego nawet wstąpić nie chciał; na rozkazujący wszakże gest swego pana, musiał zamilknąć i zgodzić się z losem. Podróżnym tym tak źle przyjętym, umieszczonym w najtańszym ale i najgorszym numerze Hotelu Francuskiego — był poprostu — Talleyrand! — Niewątpliwie stał się on ofiarą łatwej do zrozumienia pomyłki: Apartament zamówiony dla dyplomaty, oddano aktorowi; dziwne a jednocześnie dowcipne zrządzenie losu!

Szczęściem, po kilku godzinach, prawda wyszła na jaw, a zrozpaczony właściciel hotelu usiłował naprawić swoją pomyłkę i głupotę, usiłując rzewnemi łzami przebłagać zapoznanego gościa, znakomitego dygnitarza, tak dotkliwie obrażonego.

— Przebaczam panu to nieporozumienie — rzecze Talleyrand dotykając z lekka szczudłem klęczącego przed nim oberżystę — ale powiedz mi pan przynajmniej, kto jest ten zuchwalec co ośmielił się przywłaszczyć sobie moje nazwisko, moje tytuły i zamówiony dla mnie wspaniały apartament w pańskim hotelu?

— Niestety, ekscelencjo! nic on sobie nie przywłaszcza: ja sam ofiarowałem mu wszystko, a on wszystko przyjął!

— W takim razie, idź pan do niego i poproś aby mi raczył teraz pooddawać to wszystko.

— Byłem już, ekscelencjo, ale on wszystko pragnie zatrzymać!

— Któż to więc być może taki! zapewne stary dyplomata?

— Stary aktor, ekscelencjo, nazwiskiem Potier!

— A!.... prawdę więc mówi przysłowie, że ostateczności się stykają.

— Niech wasza ekscelencja raczy sobie wyobrazić — ubolewał dalej zacny oberzysta — że ten *komedjant* bezczelny ośmielił się na moją propozycję w następujący odpowiedzieć mi sposób: „Powiadasz pan, że pan Talleyrand marznie w pokoju, który ja miałem zająć, gdy ja rozkoszuję się w apartamentach dla niego przeznaczonych; pan sam obsypałeś mnie honorami i tytułami, jakie się jemu należały; upoważniam przeto pana, abyś w zamian ofiarował mu moje role i nazwisko; zabrałem mu jego pargaminy, niech on weźmie moje berło błazeńskie; nie myślę wcale zrzec się jednodniowego mego panowania; ja jestem książę Perigord Talleyrand — on — jeśli mu się podoba, może się nazywać Potier — a teraz, wynoś się pan!“ — Napróżno ekscelencjo perswadowałem mu — kończył oberżysta — wypchnął mnie za drzwi, mówiąc że to ostatnie jego słowo.

— Ha! cóż robić — rzekł książę. — Kiedy tak rzeczy stoją, bądź pan łaskaw, idź do jego dostojności i oświadcz, że aktor Potier pragnie otrzymać audjencję, celem złożenia hołdu uszanowania księciu Talleyrandowi.

— Jakto! wasza ekscelencja.....

— Nie inaczej; słuszną jest bowiem rzeczą, abym ja został komikiem Potier, skoro on, wbrew mojej woli został księciem Talleyrand. Spełnij więc pan moją prośbę. Coby to powiedzieli moi koledzy z kongresu wiedeńskiego, pomyślał minister pełnomocny Ludwika XVIII, widząc mnie odgrywającego podobną komedję w nędznym prowincjonalnym hotelu! Sterownik rewolucji, cesarstwa i restauracji, w zapasach z jakimś komikiem paryskim! Przynajmniej jest to rola jakiej dotąd nie miałem w stuaktowym moim repertoarze; wypada ją dobrze odegrać!

* * *

Wiele jeszcze osób pamięta niepospolitą zdolność jaką posiadał Potier w odtwarzaniu czy to fantastycznych typów, czy też osobistości rzeczywistych i powszechnie znanych; ów talent prawdziwy, nieograniczający się na wiernem skopjowaniu samej powierzchowności tylko, ale przyswajający sobie zarazem głos, ruchy i niemal charakter przedstawianej postaci. Chociaż też w pierwszej chwili słynny komik zakłopotał się oryginalnem wyzwaniem Talleyranda; zaląkł się trudnej roli, w której należało mysleć i mówić jak pierwszy współczesny dyplomata, znany z wielkiego rozumu i przebiegłości — w końcu jednak podrażniona miłość własna artysty i rzeczywiście oryginalna sytuacja, przeważyły nad skrupułami, i w okamgnieniu prawie, cudowną dokonał metamorfozę.

Przywdział piękną czarną suknię, obszerną i dobrze wywatowaną, odpowiednią powadze myśliciela i głębokiego polityka; głowę pokrył białą peruką, której zaokrąglone sploty wspaniale zwieszały się na ramiona; jedwabne spodnie, czarne pończochy, trzewiki ze złotemi sprzączkami i szczudło, kompletowały strój, do którego dodawszy jeszcze miniaturową imitację wszystkich orderów, polecił lokajowi aby wprowadził pana Talleyrand — nie, mylę się — aby wprowadził aktora Potier.

Książę wszedł do salonu, a podobieństwo musiało być rzeczywiście uderzające, skoro na widok drugiego swego ja, pomimo że był na coś podobnego przygotowany, znakomity gość o mało nie krzyknął z podziwienia, przyznając w ten sposób zaraz na pierwszym kroku palmę zwycięstwa stronie przeciwnej. Nieporównana wszakże pewność siebie chwilowego Sozjusza, podrażniła artystyczne usposobienie dyplomaty; postanowił przeto wytrwać do końca i pokonać zręcznego współzawodnika na własnem jego polu. Przybrał minę skromną, bojaźliwą i potulną, jak przystoi biednemu artyście w obecności wysokiego dygnitarza; wcisnął się nieśmiało w obszerny fotel wskazany mu łaskawie przez zaimprowizowaną ekscelencję, i z widoczną obawą wyszeptał kilka słów ceremonialnych na usprawiedliwienie swego natręctwa....

* * *

Przez chwilę panowało w salonie głębokie milczenie.

— Chciej mi pan wybaczyć — zawołał nagle artysta-komik, przebiegając niby oczyma trzymany w ręku dziennik — ale znajduję właśnie w *Monitorze* wiadomość, która mnie wielce interesuje.... Panu wiadomo zapewne, że *Monitor*, to barometr prawdziwy, przepowiadający pogodę i słotę publiczności ze świata politycznego?

— Wiem o tem od chwili — rzekł Talleyrand — w której wasza ekscelencja raczyłeś mi to powiedzieć.

— Na dzisiaj, barometr nie wskazuje nic dobrego: niebo się chmurzy... Zauważyłem, że taki stan rzeczy powtarza się corocznie w miesiącu lipcu, od czasu zburzenia Bastylji!

— Być że to może! — zawołał dyplomata — nic a nic o tem nie wiedziałem.

— Jak widzę, nie wiele się pan rozumiesz na polityce?

— Znam się tylko cokolwiek na komedji.

— Ah, prawda! zapomniałem. Mówmy więc o panu, o pańskim talencie, o powodzeniu jakiego doznajesz... Zresztą i dla mnie samego teatr nie jest zupełnie obcym.

— Dla waszej ekscelencji?

— Nieinaczej; czyż sądzisz pan, panie Potier, że w ciągu ostatnich czterdziestu lat każdy z nas nie był zmuszony okolicznościami do odgrywania komedji lub dramatu?

Talleyrand przygryzł usta i odparł:

— Wasza ekscelencja ma słuszność; wszyscy mniej więcej jesteśmy aktorami; ale na nieszczęście jednych przyjmują oklaskami, a drugich gwizdaniem.

— Mnie pan tego mówić nie potrzebujesz; bo jakkolwiek jestem wysokim dygnitarzem, i mnie to nie minęło!

— Wygwizdanie czy oklaski?

— Rozumie się, że pierwsze; pod tym względem teatr lepszy jest od polityki; jeżeli kogo wygwiżdżą w nim, to przynajmniej za opłatą miejsca; gdy tymczasem my, biedni dyplomaci, biedni ministrowie, biedni mężowie stanu....

— Wasza ekscelencja nie kończy?

— My, bywamy wysykani *gratis*.

Talleyrand po raz drugi przygryzł sobie usta.

— To niesprawiedliwie, ekscellencjo — zawołał po chwili milczenia — wyborni artyści, co rządzą światem nie zasługują na podobne traktowanie!

— I ja jestem pańskiego zdania, panie Potier; kiedy się jest pewnym dobrego dochodu z przedstawienia, powinno się występować tylko za pieniądze.

I któżby uwierzył? Tayllerand, jeden z najdowcipniejszych ludzi swojego wieku, nie znalazł nic do odpowiedzenia na impertynenckie wycieczki śmiałka, którego w duchu poprostu błaznem nazywał. Czuł się pobitym; chciał już odebrać swoje nazwisko, stopień i godność, ale wstyd mu było przyznać się do porażki. Rozpoczęta więc tak niefortunnie rozmowa, ciągnęła się dalej w tym samym tonie.

* * *

— Powiedz mi pan.... panie Potier, od jak dawna występujesz na scenie?

— Przepraszam ekscelencję, ale w chronologji nie jestem dość mocny — odpowiedział Talleyrand. — Skoro jednak zdaniem waszej ekscelencji, każdy z nas odgrywa na świecie jakąś komedję, czy wolno mi zapytać, kiedy miał miejsce pierwszy występ waszej ekscelencji na politycznej scenie?

— Zaczekaj pan, niech sobie przypomnę! — zawołał Potier szukając w myśli wspomnień z lat ubiegłych.—Jeśli mnie pamięć nie myli, debiutowałem w małej komedyjce pod tytułem *Seminarzysta*, w roli księdza Perigord.

Talleyrand ciekawy był może usłyszeć zdanie o sobie i swoich czynach, z ust zwykłego śmiertelnika, zapytał więc z widocznem zajęciem:

— A potem, ekscelencjo?

Potier przywołał na pomoc całą swoją wiedzę, zaczerpniętą w pobieżny rozumie się sposób, o wypadkach z niedawnej przeszłości i po chwili namysłu odpowiedział na nieostrożne zapytanie:

— Potem, grałem komedję z moim przyjacielem, hrabią Choiseul: jako ajent jeneralny kleru francuskiego, uzbroiłem okręt korsarski przeciw Anglikom. Niech to pana nie dziwi; w owej epoce wszystkich jakiś dziwny szał opanował: papież przyjmował dedykację Woltera, jenerałowie haftowali roboty włóczkowe, a księża odprawiali msze w buduarach....

— A potem, ekscelencjo?

— Potem, ja, arystokrata z rodu, domagałem się zrównania stanów i jednych praw dla wszystkich: Komedja! — Ja, biskup w Autun, żądałem wolności wyznań i nauczania. Komedja! — Ja, żywiony i wychowany kosztem kościoła, wywołałem sprzedaż dóbr kościelnych na korzyść narodu; Komedja! — Ja, starszy w rodzie, byłem jednym z najgorliwiej popierających zniesienie tytułów i przywilejów. Widzisz pan w ilu tu komedjach występowałem! I cóż pan na to... panie Potier?

Talleryand powtórzył znowu:

— A potem, ekscelencjo?

— Od owego czasu—mówił dalej nieubłagany Sozjusz—z wzrastającym rozgłosem, coraz ważniejsze odgrywałem role; występowałem w teatrze Luksenburgu przy pierwszym debiucie Bonapartego i brałem udział w skocznem widowisku 18 Brumaire; byłem dalej powiernikiem pierwszego konsula i cesarza.. Stary jestem, pamięć mi już nie dopisuje... przypominam sobie jednak jedną krwawą tragedję, w której wypowiedziałem kilka słów potwierdzenia czy też okrutnej obojętności...

— Jaki jest tytuł tej tragedji?

— Książę d'Enghien!

— Mości panie!... — zawołał książę Talleryand — zrywając się z fotelu i z oburzeniem spoglądając na zuchwałego komedjanta; ale prawie natychmiast siadł napowrót i szepnął:

— Słucham dalej waszej ekscelencji.

— Cóż więcej jeszcze mam panu powiedzieć... panie Potier? moja komedja stuaktowa jest tak poplątana, tak ciemna, tak zagmatwana! — Występowałem w obec tak różnorodnej publiczności, w dobrych i lichych utworach tylu najrozmaitszych autorów! Zresztą, grywałem zawsze z zamiłowaniem, z powołania, przez miłość własną, nie dbając ani o rzeczywistą wartość sztuki, ani o jej moralność, nie pytając nawet kto jest jej autorem. Zasadą moją było przyjmować wszelkie role bez wyjątku i wykonywać je z największą możliwą dokładnością, jak sumienny aktor, troszczący się przedewszystkiem o interesa swojego teatru; byłem też może w polityce wielkim artystą: uprawiałem sztukę dla sztuki!

Talleyrand słuchał nader uważnie starego aktora, tak zręcznie oceniającego urzędową jego karjerę ze stanowiska krytyki teatralnej; być może, zapragnął on w tej chwili, aby i historja, wydając o nim swój wyrok, poszła za przykładem tego łagodnego sędziego, aby w ośmdziesięcioletniej pracy księcia Perigord skonstatować nie fortele męża stanu, zmieniającego swe opinje, ale kreacje artysty-polityka, umiejącego w ciągłych metamorfozach występować we wszystkich dramatach życia publicznego.

— Komedja — przemówił do komika w zamiarze ukończenia maskaradowej tej sceny — komedja, zastosowana w podobny sposób do najwyższych sfer społeczeństwa, nabawia mnie trwogą i niepokojem o osobę waszej ekscelencji. O, tak! jestem szczęśliwszy od waszej ekscelencji; nie zazdroszczę tej wielkości, świetnych wspomnień ani głębokiego rozumu; wielkość prawdziwego tak jak ja aktora, jest przemijającą wprawdzie, ale nikomu ona łez nie wyciska; wspomnieniom moim towarzyszą sympatje ludu, wybuchy wesołości ogólnej, a nieprzyjaciół moich z parteru, zwyciężyłem zmuszając ich do słuchania mnie z przyjemnością. Oto jest moje berło! berło, które nie skrzywdziło ani jednego z moich poddanych; oto moja królewskość, nie despotyczna, nie pożądająca zaborów i chętnie dzieląca swą władzę z innymi królami, zwanymi: Odry, Arnal i Brunet!

Ze swej strony i Potier uczuł sie mile dotkniętym pochwałami znakomitego dyplomaty; uczucie jednak wdzięczności za usłyszane komplementa, nie było dostatecznem aby uspić w nim złośliwą chętkę skorzystania ze sposobności pozwalającej mu ukłuć polityka, niebacznie puszczającego się z komikiem w zapasy.

— Znana mi jest dobrze — mówił z wyszukaną uprzejmością — działalność pańska w sferze komiki; niejednokrotnie bowiem miałem przyjemność widywania pana na scenie — to jest, chciałem powiedzieć na tronie Teatru Rozmaitości. Zdaje mi się, że mógłbym bez namysłu wyliczyć tu wszystkie sztuki, w których pan występowałeś, powtórzyć każdą rolę jego, ruch każdy niemal pamiętam, i w całej tej świetnej karjerze dramatycznej, jeden mnie tylko fakt zadziwia, jak mogłeś pan podjąć się roli w bardzo smutnej, bardzo bolesnej tragedji, odegranej przed kilkunastu laty w Paryżu...

— Kiedyż to było, ekscelencjo? — zapytał Talleyrand nie tając rzeczywistego zaciekawienia.

— W roku 1814.

— A jaki tytuł owej sztuki?

— Pałac przy ulicy Saint-Florentin *).

Talleyrand skrzywił się niemiłosiernie; zrozumiał że uszczypliwy przeciwnik jego, ponawia atak z innej strony — nie protestował wszakże, pragnąc widocznie wychylić ten kielich goryczy aż do dna.

— Nie lubię tej sztuki — ciągnął dalej artysta — a nawet zaszkodziła ona panu w mojej opinii, w mojem uwielbieniu. Przyznaję, że rola sama już z siebie była nikczemną, ale być może, iż pan dodałeś w niej ze swej strony to wszystko co było w niej wstrętnego i odpychającego; jeśli się nie mylę, treścią sztuki był upadek mocarza ziemskiego; zręczny polityk, którego pan przedstawiałeś — opuszcza tego, którego ubóstwiał niedawno, ze zmianą powodzenia poświęca obowiązek i zasady, sprawę całego kraju zależną czyni od osobistego interesu, naród własny oddaje garstce niewdzięczników na samowolę najeźdźców!... O! panie Potier, szkaradna to komedja! I jaką to rolę zgodziłeś się pan odegrać w niej!... Nie należy nigdy stawiać przed oczy ludu, na deskach olbrzymiego teatru, postaci człowieka, co w obec upadku wspólnej sprawy, nie waha się łączyć z zwycięską stroną przeciwną, zamiast usunąć się w zacisze i okryć się milczeniem żałoby!

Talleyrand powstał, nie chcąc już zapewne dłużej słuchać podobnych prawd gorzkich; ale w tej chwili wszedł do salonu jego kamerdyner i podał mu najświeższy numer *Monitora*, przed kwadransem nadeszły do Orleanu; był to Monitor z 26. lipca 1830 r.

*) Abdykacja Napoleona I.

— Ekscelencjo! — zawołał książę zwracając się do aktora — oto dziennik zaadresowany do waszej dostojności.

— Chciej go pan odczytać, panie Potier — odpowiedział artysta — dla mnie, a może i dla siebie, jeśli to pana interesuje... Słucham...

Talleyrand rozwinął organ urzędowy i prawie w tejże chwili dziennik wypadł mu z ręki: były doradzca Ludwika XVIII odczytał fatalne dekreta Karola X.

Po kilku minutach milczenia, zwrócił się do swego Sozjusza i uśmiechając się przemówił:

— Zmuszony jestem pożegnać waszą ekscelencję; odjeżdżam w tej chwili do Paryża; przyzywają mnie na scenę starego teatru, świadka dawnych moich powodzeń. Być może, że zgodzę się na występ w wielkiej uroczystości dramatycznej; pragnę, aby to była ostatnia moja kreacja artystyczna.

— Czy rola pańska piękną będzie?

— Postaram się uczynić ją świetną dla mnie, a pożyteczną dla drugich.

— Jakim sposobem?

— Dowiesz się pan o tem niezadługo.

— A cóż to za nowy utwór, w krórym masz panu kończyć swoją karjerę dramatyczną?

— Zdaje mi się, że tytuł jego będzie: *Rewolucja lipcowa.*

Powiedziawszy to, Talleyrand skłonił się uprzejmie i opuścił salon. Potier zrzucił perukę i dekoracje, przebrał się pospiesznie i pobiegł za gościem, aby go przeprosić za swoją zuchwałość. Książę z największą uprzejmością podał mu rękę i żegnając się z nim, zapytał go jeszcze:

— No i cóż, panie Potier—któryż z nas został pobity?

— Wasza ekscelencja; ale to zapewne nie po raz pierwszy raczyłeś mości książę pozwolić się pobić.

W kilka dni później nowa dynastja zajęła miejsce starszej linji Burbonów, a książę Talleyrand ukazał się w Londynie jako nadzwyczajny i pełnomocny minister domu francuskiego.

Potier i Talleyrand raz jeszcze spotkali się z sobą; obaj byli znowu w podróży: jeden dążył na cmentarz Pére-Lachaise, drugiego zwłoki odwożono do Valençay — dwaj wielcy artyści musieli bez wątpienia poznać się z wnętrza swych trumien i czy mówili co z sobą przy tej sposobności — któż to odgadnąć może!

Salon, w którym odbyła się powyższa artystyczno-polityczna rozmowa, dziś jeszcze pokazują ciekawym, w starym hotelu Francuskim, w Orleanie. *Ludwik Larine.*

## Odpowiedź Redakcji.

**A. N. w Krakowie.** Pod pseudonimem *Marja B.* ukrywa się Panna Marja Bartus, zamieszkała we Lwowie.

**W. Pan A. K. w Nowym Sączu.** Pojedyncze Nr. Tygodnia dostarczamy po 50 centów.

**W. Pan L. W. w K.** Drukowane nie będzie.

## SPROSTOWANIE.

W numerze 1 w artykule wstępnym, w drugiej szpalcie 3 wiersz z góry błędnie wydrukowano: „Poezja przygasa wtedy kiedy się staje konwencjonalną, *ale nie wtedy*, kiedy chce wskrzeszać umarłe formy“ itd., powinno być „Poezja przygasa wtedy kiedy się staje konwencjonalną, kiedy chce wskrzeszać umarłe formy...“

## Treść Nr. 2.


| | str. |
|---|---|
| *Cechy nowego zwrotu w literaturze.* II Realizm. | 17 |
| *Hania.* Powieść Litwosa (c. d.) | 18 |
| *Leon Sapieha* przez Karola Widmana (c. d.) | 21 |
| *Awanturnicza wyprawa do Chiwy.* Burnaby'ego. (c. d.) | 22 |
| *O budowie ludzkiego organizmu i jego życiu.* Przez Dr. Gustawa Dolińskiego (c. d.) | 23 |
| *Złote wesele.* Z okoliczności 50 letniego jubileuszu J. I. Kraszewskiego przez Teofila Lenartowicza. | 24 |
| *Dzieci Heleny.* Powieść, przekład z angielskiego (c. d.) | 25 |
| *Uwagi nad wystawą paryzką.* | 27 |
| *Kronika naukowa* przez Br. Abakanowicza. | 28 |
| *Tydzień lwowski.* | 29 |
| *Wiadomości z kraju i ze świata.* | 30 |
| *Rozmaitości.* | 30 |
| *Dwaj komedjanci.* Anegdota historyczna przez Ludwika Larine. | 31 |
| *Odpowiedź Redakcji.* | 32 |
| *Sprostowanie* | 32 |


Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.